Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV Łódź, 30 listopada 1947 r. Nr 46 (125)

W NUMERZE:

Wiesław Jażdżyński

SPÓŁDZIELCZOŚĆ DAWNIEJ I DZIŚ*)

„Zostało już przyjęte i jest w trakcie realizacji, że ośrodkiem spółdzielczości wiejskiej w gminie powinna być Uniwersalna Spółdzielnia Gminna. Świadomość, że tak być powinno, docierała do ogółu z wielkimi trudnościami, napotykała na wiele oporów i straciliśmy w tej sprawie dużo czasu, nawet za dużo czasu. Ale to się już stało i nie odstanie i dobrze jest, że pogląd w tej sprawie został ustalony".

(Z przemówienia Min. Przemysłu i Handlu Hilarego Minca, wygłoszonego na pierwszym posiedzeniu Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej).

*

W spółdzielczym Klubie Dyskusyjnym zastanawiano się wiosną br. nad następującym zagadnieniem: jakie właściwie spółdzielnie organizować w gminie wiejskiej — **specjalizacyjne, czy uniwersalne?**

Przedstawiciele Związku Samopomocy Chłopskiej stanęli na stanowisku, że spółdzielczość na wsi powinna rozwijać się w kierunku łączenia poszczególnych funkcji gospodarczych w jednej Uniwersalnej Spółdzielni Z. S. Ch.

Inni dyskutanci, reprezentujący przeważnie Związek Gospodarczy Spółdzielni R. P. „Społem" popierali myśl tworzenia odrębnych spółdzielni dla rozmaitych czynności gospodarczych, podkreślając szczególnie znaczenie spółdzielni spożywców.

Przebieg dyskusji wskazuje, że zwycięstwo odniosła koncepcja uniwersalnej spółdzielni gminnej. Należy zatem przypuszczać, że w niedługim czasie każda gmina wiejska będzie posiadać spółdzielnię skupiającą **produkcję gospodarstw wiejskich, zapewni jej należyty zbyt i dostarczy chłopom potrzebne artykuły gospodarcze.**

Warto jednak przypomnieć sobie, do jakich tradycji nawiązali zwolennicy **specjalizacyjnej** przede wszystkim zaś **spożywczej** spółdzielczości i jaką to już inną tradycję spółdzielczą wznawia Związek Samopomocy Chłopskiej?

I. „DZIECKO ZŁYCH CZASÓW"

a) Z miłości do ludzi.

„Anglia, która na przełomie XVIII wieku odniosła zwycięstwo nad Francją — pisze prof. Szymański w skrypcie o spółdzielczości przeznaczonym dla Uniw. Łódzkiego — po raz drugi zwyciężała świat. Ludność jej z 6 milj. w r. 1760 wzrosła na 14 milj. w r. 1820 w tym samym czasie eksport wzrósł z 10 milionów funtów do 14 milj. ...W niewielkim mieście przemysłowym — według oświadczenia jednego z posłów do parlamentu angielskiego z roku 1841, 136 osób zarabiało tygodniowo 6 pensów (około 75 gr.), 200 osób — 10 pensów, 503 — 1 szyling (12 pensów), 855 — 1,5 szyl. i 1500 — 1 szyl. i 10 pensów. 516 osób nie miało łóżka wyłącznie do własnego użytku, 850 osób w ogóle nie miało łóżek, a 46 rodzin sypiało na barłogu. W Lyonie w r. 1834 zarobek dzienny tkacza wynosił przeciętnie 66 centów, kobiet pracujących zarobkowo — jeszcze mniej. Funt zaś chleba kosztował w tym czasie 15 centów, funt mięsa 50 centów. Mimo tak niskiego wynagrodzenia praca trwała do 14 godzin na dobę. Były jednak fabryki, w których pracowano do 18 godzin na dobę".

„Spółdzielczość jest w ogóle dzieckiem złych czasów" — pisał St. Thugutt. Istotnie. Kiedy bowiem w 1848 roku 28 nędzarzy roczdelskich ruszyło ze swego kramiku spółdzielczego szukać sprawiedliwości dla pokrzywdzonych, nowy kapitalistyczny ustrój gospodarczy osiągał właśnie klasyczną formę. Istniał już potrzebny kapitał, nowe rynki towarowe, załamała się dawna monopolistyczna organizacja produkcji i wymiany, szereg wynalazków technicznych przemieniło prymitywną manufakturę w nowoczesną fabrykę. Wzrastające szybko bogactwo magnatów przemysłowych pogłębiało różnice w dochodzie społecznym. W rezultacie powiększała się nieustannie masa nędzarzy, których — nim staną się oni świadomą swych celów walczącą klasą robotniczą — nazywano ubogimi.

Tak ułożyły się dzieje, że w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy to zarysował się wyraźnie układ społeczny oparty o przewagę ekonomiczną klasy przemysłowej, nowoczesne techniczne środki produkcji — narzędzia rozumu — pozostały w rękach kapitalistów, zdegradowanym zaś gospodarczo warstwom społecznym zostawiono romantyczną wiarę w jakiś mglisty, nieokreślony, lepszy świat, który miał powstać z emocjonalnej postawy „małych ludzi" wobec narastającej nędzy i zła. Stoimy u podstaw ruchu spółdzielczego.

Miłość i ochrona małego człowieka są najistotniejszymi i, najbardziej charakterystycznymi cechami spółdzielczości, zapewne dlatego, że ruch ten na wsi czy w mieście jest dzieckiem nędzy proletariatu. Ta miłość człowieka była tajemnicą potężnego rozrostu ruchu „Spółdzielczość to przede wszystkim ludzie. Chcąc ją wzmocnić i dźwignąć do wyższego poziomu trzeba wzmocnić i oczyścić charaktery jej członków" (St. Thugutt). „W przeobrażeniu moralnym człowieka na wolnego twórcę życia — widzi kooperatyzm swoje najważniejsze zadanie". (E. Abramowski).

Zatem u podstaw ruchu spółdzielczego stanął człowiek jako **problem moralny** w pierwszym rzędzie.

Trzeba z kolei zapytać na jakiej drodze widziano realizację owego „przeobrażenia moralnego człowieka wolnego twórcy życia"? Czy może przez zdecydowaną walkę z kapitalistycznym systemem gospodarczym, w którego założeniu leżała nierówność klasowa, narastanie bogactw z jednej i nędzy z drugiej strony?

Nie!

Streszczamy tu — cytując prof. E. Taylora — sformułowaną w latach 1880 — 1890 przez Aglika B. Pottera teorię najpowszechniejszej spółdzielni spożywczej. Wyznawcy tej teorii to: Szkoła Ekonomiczna prof. Gide'a we Francji, Müller w Szwajcarii Wojciechowski, Abramowski, Milewski i Związek Gospodarczy „Społem" w Polsce.

„Obecny ustrój społeczny — pisał prof. Taylor — jest zorganizowany dla celów produkcji, a nie konsumcji, czyli zysków indywidualnych, a nie potrzeb społecznych. Tymczasem celem gospodarstwa społecznego jest zaspakajenie potrzeb ludzkich, tj. konsumcja. Interes spożywców reprezentuje interes całej ludzkości. Działalność gospodarcza Stowarzyszeń Spożywczych nie zmierza do usunięcia jednego z najwybitniejszych objawów obecnego ustroju kapitalistycznego, instytucji pośrednictwa, lecz poddaje ją zasadniczej reformie ekonomicznej, wprowadzając do podziału zysków z niego zamiast obecnej zasady rozdziału wg. kapitału włożonego w przedsiębiorstwo, zasadę podziału według stopnia korzystania z usług przedsiębiorstwa tj. zakupów. W ten sposób cały zysk z pośrednictwa po pokryciu kosztów nabycia, zmierzających, jak wiadomo, pod wpływem prawa podaży i popytu do granicy kosztów produkcji, przypada spożywcy... Jak widzimy — pisze dalej prof. Taylor — kooperatyzm integralny przystosowuje się zupełnie do ram obecnego ustroju kapitalistycznego, tylko je rozsadza, reformuje zasadniczo przez wprowadzenie nowych pierwiastków; nie znosi on wcale instytucji pracy najemnej, przeciwnie — rozszerza ją na wszystkie działy życia, zachowuje wytwórczość wolną, opartą na prawie popytu i podaży i nie wprowadza nowej miary wartości opartej na pracy... Nie występuje on przeciwko podziałowi dochodu społecznego między 3 czynniki produkcji: przyrodę, kapitał i pracę, lecz w ogóle przypadaniu całego dochodu społecznego produkcji"...

Cytowany powyżej prof. Taylor zakładał nawet konieczność istnienia systemu kapitalistycznego. Spółdzielczość — jego zdaniem — powinna mieć konkurenta w postaci prywatnych przedsiębiorców, z którymi mogła by ścierać się w wolnej konkurencji. Inaczej grozi jej zastój i możliwość nie dotrzymania kroku w rozwoju i doskonaleniu się.

Obraz podstawowej dla ruchu spółdzielczego kooperatyw spożywców uzupełnia fakt jej powszechności inaczej — jej **wszechklasowy** charakter. Spożywcą jest każdy człowiek, a więc **każdy mógłby być członkiem spółdzielni.**

„Konserwatywni urzędnicy i oficerowie, liberalni przedstawiciele profesji wyzwolonych, radykalnie usposobieni robotnicy fabryczni, ultramontańscy lub radykalni górnicy — oto grupy, które organizują się pod hasłem spółki spożywczej" — pisał Ludwik Krzywicki („Stowarzyszenia Spożywcze" — 1903 r.).

Otrzymaliśmy przy pomocy jej twórców — obraz spółdzielni zrodzonej z miłości do „małego człowieka", służącej jego „przeobrażeniu moralnemu na wolnego twórcę życia". Spółdzielnia ta nie przeczy podstawowym założeniom kapitalizmu, ale nawet przeciwnie — uznaje konieczność jego istnienia i zaprasza do swych szeregów każdego konsumenta na zasadzie powszechności i dobrej woli.

Społeczne konsekwencje tak pojętej teorii spółdzielczości nie dały długo na siebie czekać.

b) „Odtrutka przeciwko wywrotowym prądom"

W odezwie wydanej z racji I-go Kongresu Międzynarodówki — czytamy: „Radzimy wstępować robotnikom do organizacji **wytwórczych a nie spożywczych.** Ostatnie **naruszają tylko powierzchnię** istniejącego systemu ekonomicznego, a pierwsze **druzgocą jego podstawy".**

Robotnicza spółdzielczość wytwórcza, wychodząca się z ruchu tkaczy roczdelskich, organizowana we Francji przez Bucheza i L. Blanca, w Niemczech przez Lassalle'a miała stanąć do walki z kapitalizmem o szczęśliwego człowieka. Związana ściśle z ruchem politycznym robotników nie zdołała, podobnie jak i oni, opanować, ani czynników produkcji, ani też rynku pracy.

Przez cały prawie w. XIX i XX, aż do ostatniej wojny światowej działały i rozwijały się przede wszystkim **wszechklasowe spółdzielnie spożywców,** związane z kapitalistyczną gospodarką i podpierające ją.

„Nadużywając pojęcia wszechklasowości spółdzielni — pisze St Thugutt — szukając w nich wyrazu solidaryzmu społecznego usiłowano używać spółdzielczości, jako odtrutki przeciwko wywrotowym prądom".

Spółdzielczość ta odcinała się wyraźnie od wszelkiego związku z ruchem politycznym. „Spółdzielczość — mówił Gide — nie wiąże się właściwie z żadną konstrukcją teoretyczną. Wychodzi z samego narodu jako próba samoobrony człowieka biednego w systemie kapitalistycznym... **Polityka jest tylko przeszkodą na drodze spółdzielczości do nowego ustroju.** Wszystko jedno, co i jak myślą chłopi i robotnicy. Zmienia się gospodarka — zmienia się samo wszystko dokoła. **A gospodarka może się zmienić tylko sama, od wewnątrz".** I dalej: „Artykuł główny programu socjalistycznego, którym jest walka klas, nie może **być wpisany do programu spółdzielczego** dla tej oczywistej racji, że właśnie **spożywca nie reprezentuje żadnej klasy,** ani żadnego stronnictwa, **jadanie nie jest opinią".**

Nie inaczej uważał szwajcarski ideolog ruchu spółdzielczego — Hans Müller: „Żądanie, by spółdzielcze stowarzyszenia spożywców służyły jako **oddziały pomocnicze proletariackiej walce klasowej** jest niemożliwe, a spełnienie tego żądania miałoby tylko ten skutek, że wywołało by rozdrobnienie ruchu spółdzielczych stowarzyszeń spożywczych, cofnięcie go o dziesiątki lat w tył i doprowadzenie go do całkowitej społecznej bezwładności".

Tak pojętą ideologię spółdzielczości zatwierdziły prawnie rządy europejskich państw kapitalistycznych. Pierwsza w świecie angielska ustawa o spółdzielniach traktuje spółdzielczość, jako jeszcze jedną odmianę filantropii. Francuska ustawa kwalifikuje spółdzielczość jako ruch wyłącznie gospodarczy, unikając zręcznie dokładnego określenia jej cech. Praktycznie niemal każde zrzeszenie gospodarcze, do kartelu przemysłowego włącznie, mogło stanowić spółdzielnię.

W ten sposób 21.000 przedwojennych spółdzielni w Europie, wraz z 19 milionami członków poszło na kompromis z kapitalizmem.

Kongres Międzynarodowego Związku Spółdzielczego odbyty w 1937 roku przyjął m. in. następujące zasady działania: 1) wolność i powszechność wstępowania, 2) **neutralność polityczną,** 3) działalność wychowawczą (19 milionów spółdzielców!)

Na posiedzeniu polskiej Państwowej Rady Spółdzielczej przyznano prawo członkostwa i rewizji kupcom i przemysłowcom, dnia 30.3 1939 r. Od tej daty mogła spora część kapitalistycznych **przedsiębiorców** działać pod tęczowym sztandarem — tym samym, który miał skupić **pokrzywdzonych** przy rozdziale dochodu społecznego do walki z kapitalizmem.

Europejska, a również — i polska spółdzielczość nie była formą walki klasowej o sprawiedliwe rozprowadzanie dochodu społecznego.

Thugutt nie wyobrażał sobie zwycięstwa spółdzielczej sprawiedliwości bez pomocy politycznego ruchu robotników i związków zawodowych. „Walka klas — pisał — w najogólniejszym ujęciu jest niczym innym, jak walką o udział w dochodzie społecznym, oraz wpływy, znaczenie i stanowisko, jakie są z tym większym udziałem związane. Zaprzeczać istnieniu walki klas jest taką samą niedorzecznością, jak zaprzeczać istnieniu wiatru, powstającego wskutek dążenia do wyrównania warstw chłodnych i ciepłych powietrza".

Było to jednak mocno spóźnione wołanie. Wszechklasowa spółdzielnia, rewidowana przez kupców i przemysłowców nie mogła już uzyskać wpływu na stosunki produkcji, ani regulować choćby w znikomym procencie tragiczną sytuację na rynku zatrudnienia i płac. Zakładając jako podstawowy cel „[illegible]nia" moralne przeobrażenie człowieka w wolnego twórcę życia osiągnie w wolnej konkurencji z prywatnymi przedsiębiorcami 2,7 proc. udziału w rozprowadzeniu dochodu społecznego w Polsce, na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Oto tragiczny bilans walki, którą prawie 100 lat temu zaczęli nędzarze roczdelscy. Z miłości do małego człowieka powstał ruch zaprzeczający właściwie jego dążeniom.

c) Kapitalizm dla mas.

W 7-ym numerze Spółdzielczego Przeglądu Naukowego z roku 1931 pisał St. Thugutt: „Istnieje wielki z dnia na dzień w niektórych krajach żywiołowo rosnący odłam ruchu spółdzielczego, który nie powinien by odczuwać antagonizmu klasowego do kapitalizmu, bo w nim głęboko tkwi korzeniami. Tym odłamem jest **spółdzielczość rolnicza,** której członkami są przeważnie posiadacze kapitału w postaci terenów rolnych, do których mówiąc nawiasem, namiętnie są przywiązani. Przeciwstawianie ich kapitałowi było by przeciwstawieniem ich własnemu interesowi".

Liczniejszą w niektórych krajach niż spożywcza spółdzielczość rolniczą nazywał St. Thugutt kapitalistyczną. Czy jednak się nie mylił? Dla sprawdzenia oddajemy głos jednemu z twórców rzemieślniczo-chłopskich spółdzielni kredytowych — Schulzemu, wójtowi z Dolitsch. Formułuje on zadanie spółdzielczości kredytowej w następujący sposób: ma ona na celu „zrównanie **warstw słabych gospodarczo** w ustroju **kapitalistycznym** ze stanowiskiem kapitalistów przez zrzeszenia, które dozwalają im na korzystanie z ułatwień i dogodności stojących do dyspozycji wielkich przedsiębiorców. Według programu tego ruchu **kooperacja nie ma na celu zwalczania** kapitalizmu, ale **uczynienia go dostępnym dla szerokich mas społeczeństwa,** do czego daje możność **otwartość ich dla wszystkich".**

Przedwojenne ustroje społeczno-gospodarcze przyjmowały chętnie aspirujące na kapitalistów spółdzielnie kredytowe.

Kiedy w roku 1870 udział rzemieślników wynosił w spółdzielniach Schulzego 38,4 proc., to w roku 1913 odsetek rzemieślników zmalał do 22,5 proc. Resztę stanowili w zdecydowanej większości przemysłowcy, kupcy, rentierzy i wolne zawody, oraz znikoma ilość robotników. Od roku 1880 spółdzielnie kredytowe tego typu rozwijają się, i na wsi, obejmując prawie wyłącznie zamożniejszych chłopów.

Jakże przebiegał proces awansowania w kapitaliźmie?

Podstawą działalności stały się wyłącznie operacje pieniężne. Zabiegano o możliwie wysokie udziały, płacąc odpowiednio wysokie dywidendy. **Oprocentowanie pożyczek, zgodnie ze stanowiskiem Schulzego** wynosiło przecięt-

---

***) Artykuł W Jażdżyńskiego został napisany przed obradami Zarządu Głównego Z. S. Ch. a więc wcześniej niż Min. Przemysłu i Handlu wygłosił przemówienie. — Red.**

nie 14,3 proc. Nawet kiedy zmniejszono oprocentowanie pożyczek, uzyskiwana od wkładów dywidenda bynajmniej nie zmalała. — Pożyczki wynosiły przeciętnie 100.000 marek, nierzadko przekraczały sumę 500.000 mk. Za małe pożyczki uważano wynoszące 10.000 marek, wypłacane zresztą rzadko...

Przed wojną światową weszły w skład spółdzielni Schulzego i spółki akcyjne. Rozpoczął się proces przemiany spółdzielni kredytowych w kapitalistyczne spółki. W latach 1889—1910 220 spółdzielni kredytowych przemieniło się w spółdzielnie akcyjne. Prowadziły one, jak wszystkie inne, spekulacje finansowe i kapitalistyczne operacje na giełdzie.

Wzięliśmy tu za przykład drobno-mieszczańskie i wielko-chłopskie banki kredytowe. Wypada z kolei odwołać się do podobnych przykładów z terenu Polski.

Wielkopolski ruch spółdzielczy rozpoczynają rzemieślnicy już po roku 1848. Około roku 1860 założono „Towarzystwo pożyczkowe dla przemysłowców m. Poznania". W 1871 roku działało w poznańskim już 18 spółek zarobkowych i gospodarczych centralizujących się finansowo w Banku Związku Spółek Zarobkowych. W latach 90-tych ub. stulecia kilka większych tego typu spółek: z Gniezna, Inowrocławia, Lubawy, Poznania i Żnina wyselekcjonowało się, podobnie jak spółdzielnie kredytowe Schulzego na kapitalistyczne banki pożyczkowe.

Wielkopolskie spółki pożyczkowe, obejmujące początkowo tylko rzemieślników i drobnych przedsiębiorców, objęły już w drugiej połowie XIX w. — wieś.

Charakteryzując działalność ruchu spółdzielczo-kredytowego Polaków w Wielkopolsce pisze dr. Ewart w książeczce pt.: „Das polnische Genossenschaftswesen in der Provinz Posen"; „świadomość interesu narodowego uchroniła spółki polskie od rozstrzelenia sił. Nie dzieliła ich ani różnica stanów, ani przeciwieństwa miasta i wsi... Instrukcyjna, wychowawcza działalność Patrona szkoliła zarządy i rady, usuwała błędy i nadawała szkółkom jednolity kierunek".

W latach 1892—1910 liczba spółek wzrosła z 86 na 265. Gromadziły one kapitał znacznie szybciej niż spółdzielnie Schulzego. W roku 1913, ponad 60 spółek skumulowało tak poważne kapitały rezerwowe, że przewyższały one znacznie kapitały udziałowe. 204 banki mieszczańsko-ludowe skupiały w 1913 roku 25.086.000 marek wkładów i 13.249.000 marek kapitału rezerwowego. Przeciętnie przypadało na jeden bank w tym czasie zaledwie 617 członków.

W latach 1892—1910 liczba spółek wzrosła kredytowe, założył w Mogilnie ks. Wawrzyniak pierwszą spółdzielnię rolniczo-handlowa — tzw. „Rolnik". W 13 lat później pracowało już 60 „Rolników", skupiając zaledwie 9681 członków — bogatych chłopów (75 proc.), właścicieli folwarków (15 proc.), księży, adwokatów, lekarzy, ziemian i przedsiębiorców przemysłowych. Niezależnie od pełnej możności rozporządzania kapitałami spółek pożyczkowych, zdołały zgromadzić „Rolniki" 1.218.000 marek kapitału rezerwowego.

„Gospodarka handlowa „Rolników" — pisze prof. Szymański w wydanym dla Uniw. Łódzkiego skrypcie — wzorowana na niemieckich spółkach handlowo rolniczych miała charakter czysto **kupiecki**, mało liczyła się z nadaniem operacjom bardziej spółdzielczego charakteru".

Polityczne znaczenie wielkopolskich spółek pożyczkowych, jako ruchu zwalczającego z powodzeniem niemieckie ataki na polski stan posiadania — doceniła należycie historia. Ocena tego samego ruchu jako zjawiska **społecznego** musi nasuwać pewne zastrzeżenia. Mamy tu bowiem do czynienia z drobnokapitalistycznym bankiem ludowym i przedsiębiorstwem handlowym typu „Rolników". Instytucje te podtrzymywały mieszczańskich przedsiębiorców i utrwaliły społeczny stan posiadania w Wielkopolsce, oparty o wielkie, ponad 100 hektarowe gospodarstwa (53 proc. w 1914 r. i duże 20 do 100 hektarowe (18 proc.).

Warto by spytać, co stało się z człowiekiem, pokrzywdzonym przy podziale dochodu społecznego, który miał być przy pomocy spółdzielczości „przeobrażony moralnie w wolnego twórcę życia" — jak to chciał E. Abramowski.

Pokrzywdzony człowiek poszedł na emigrację. W latach 1871—80 — podaje Grabski — 113.669 małorolnych i bezrolnych opuściło Wielkopolskę na zawsze.

Miał zatem rację St. Thugutt mówiąc, że rolniczy odłam ruchu spółdzielczego najbardziej związał się z kapitalistycznym systemem gospodarczym i wyrzucał nieprzerwanie poza nawias życia nędzarzy, którym w zasadzie powinien był służyć.

d) ...„załamały się nakazy moralne"

Dokonany tu pokrótce przegląd najważniejszych gałęzi spółdzielczości, nie uwzględnia szeregu odmian spółek pożyczkowych, jak np. Spółdzielnie Kredytowe Reiffeisena czy Stefczyka, rozwijające się głównie w Galicji, ponieważ nie grały one wcale innej roli niż wielkopolskie. „W 1889 r. wrócił do kraju z Nadrenii Franciszek Stefczyk i przystąpił do akcji tworzenia spółdzielni oszczędnościowych, zwłaszcza wiejskich, na wzór Reiffeisena. Stefczyk nastawiony idealistycznie i solidarystycznie (a także anty-socjalistycznie), utrafił w potrzeby zamożniejszego chłopstwa a znalazł poparcie duchowieństwa i nauczycielstwa" — tak charakteryzuje galicyjską spółdzielczość wiejską **Witold Kula** („Historia gospodarcza Polski", 1864—1918).

„W istocie Stefczyk reprezentował ruch ekonomiczny, który wprowadzając moralne, uczuciowe korektury w ustrój kapitalistyczny, nie podważał go w niczym" (**A. Kamieńska**, „Wieś" nr. 45).

Gdyby walczące o dobro człowieka galicyjskie spółdzielnie spełniły zadanie, nie powstałaby zapewne tragiczna literatura o emigrującym proletariacie chłopskim.

Awansująca w kapitalizm spółdzielczość nie naruszyła nigdzie i w niczym liberalnego systemu społeczno-gospodarczego. Hasła miłości do człowieka, ochrony godności ludzkiej pokrzywdzonych zostały sponiewierane, podobnie, jak i sam człowiek pracy w systemie kapitalistycznym.

Obserwując objawy rozkładu moralnego w instytucjach spółdzielczych pisze St. Thugutt w 1932 r.: „Zwiędły stare wierzenia i załamały się nakazy moralne, nie te, które się mieszczą w kodeksach, ale które w samych sobie nosimy. Świat staje się pomału dziką puszczą, której część mieszkańców szaleje, chwytając się wariackich sposobów ratunku, inni zaś ostrzą sobie pazury i kły, szukając po prostu zysku... Na życiu naszego ruchu spółdzielczego odbija się to źle".

Oto tragiczny bilans ruchu, który postawił sobie za cel rozwiązanie moralnego problemu człowieka w ramach kapitalistycznej struktury społeczno-gospodarczej, a nie na drodze związku z rewolucyjnym ruchem dążącym do przemian ustrojowych.

II. PO ZMIANIE USTROJU

„Trzeba będzie brać znaczną część spadku po kapitaliźmie na swój rachunek i na swoją odpowiedzialność" — pisał na krótko przed wojną St. Thugutt. Istotnie. Jeżeli bowiem referent Związku Gospodarczego R. P. „Społem" wypowiedział się w Klubie Dyskusyjnym po stronie specjalizacyjnej, a w szczególności spożywczej spółdzielni dla wsi, podkreślając równocześnie obawę, że w wypadku innego rozwiązania może ucierpieć „spółdzielczość i sama koncepcja wolności gospodarczej obywatela" — to nawiązywał on do omówionych już powyżej tradycji spółdzielczych, przeobrażających „moralnie człowieka w wolnego twórcę życia".

Jeżeli prezes „Społem" mówił o wyżyciu się obywatela w „dobrowolnej organizacji" spółdzielczej, nie uzależnionej od ruchu zawodowego i politycznego lewicy społecznej, — to nawiązywał on mimowoli do tych tradycji spółdzielczych, które w systemie kapitalistycznym stanowiły „odtrutkę przeciw wywrotowym prądom".

W wyniku prowadzonej wiosną dyskusji w Klubie Spółdzielczym zwyciężyła jednak koncepcja spółdzielczości chłopskiej, zrywająca z tradycją międzyklasowych, stojących po stronie konsumcji i co najwyżej wymiany — instytucji spółdzielczych, prowadzonych przez filantropów, w oparciu o moralny ideał miłości do człowieka.

Po zmianie ustroju kapitalistycznego na demokratyczny pisze Adam Rapacki: „niecierpliwił mnie ten typ apostoła spółdzielczego, zapatrzonego w duszę człowieka, nie widzącego, ani prawdziwego, realnego świata dokoła, ani mas ludzkich".

Masy chłopskie nie czekały na wyniki wiosennej dyskusji. „Chłopi sami po reformie rolnej, przy kolosalnym zniszczeniu wsi, przy zupełnej obojętności odpowiedzialnych czynników spółdzielczych, co do formy spółdzielni na wsi — zbudowali spółdzielnie gminne, których w całej Polsce mamy po dzień dzisiejszy 2214. W Województwach centralnych, w Poznańskim i Pomorskim sieć Gminnych Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej dochodzi do 90 proc." — mówił jeden z członków Klubu Dyskusyjnego.

Taki jest głos realnego świata, owych mas ludzkich. I jeszcze jedno. 1,971 młodych, uniwersalnych Spółdzielni Gminnych Z. S. Ch. wykazało obrót za rok 1946 sięgający 5 miliardów sześćset milionów zł., podczas gdy istniejące kilkadziesiąt lat, stare już spółdzielnie spożywców w liczbie 3.762 osiągnęły tylko 6 miliardów pięćset milionów złotych obrotów w ciągu tego samego roku.

Cyfry te wykazują, że uniwersalna, Gminna Spółdzielnia Z. S. Ch. nie jest pomyłką. Realizuje ona postulat wpływu **na produkcję, wymianę i konsumcję,** o który dopominało się daremnie od spółdzielczego ruchu spożywców — 28 nędzarzy roczdelskich, Marks, Buchez, Lassalle.

Wydaje się co więcej, że wraz ze stworzeniem Gminnych Spółdzielni Z.S. Ch., rozwiązuje się **najważniejsza część problemu gminy — jej społeczno-gospodarcza organizacja.**

Rozbudowując dziś gminne spółdzielnie — nawiązuje Związek Samopomocy Chłopskiej nie do tej tradycji spółdzielczości, która zrodzona „z miłości do człowieka", naruszała tylko powierzchnię kapitalistycznego systemu gospodarczego, daremnie usiłując przeobrazić człowieka „w wolnego twórcę życia".

Uniwersalna Spółdzielnia Gminna Z. S. Ch. nie nawiązuje także i do tej tradycji spółdzielczości ludowej, która chcąc uczynić kapitalizm „dostępnym dla szerokich mas społeczeństwa", była właściwie „odtrutka przeciw wywrotowym prądom".

Samorzutnie, przez chłopów zorganizowane spółdzielnie, są dziś **ustrojowym składnikiem** zmienionej gospodarczo - społecznej struktury państwa, ponieważ nawiązują do tych tradycji ruchu spółdzielczego, który wiążąc się z walką robotników o sprawiedliwy podział dochodu społecznego, prowadził przeszło sto lat walkę o społeczną organizację produkcji, wymiany i konsumcji, zagwarantowaną w samej strukturze ustrojowej — a więc toczył walkę o zdruzgotanie podstaw kapitalistycznego systemu gospodarczego.

Takiej spółdzielczości, związanej z ruchem społecznej walki chłopów o „wolnego twórcę życia", powierza nowy ustrój jeden z najważniejszych elementów uspołecznionej struktury gospodarczej — organizację produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich, zapewnienie tej produkcji należytego zbytu i zaopatrzenie chłopów w artykuły przemysłowe.

Idące od podstawowej jednostki gospodarczej — gminy, działanie ustrojowe ustabilizuje związek funkcjonalny produkcji rolniczej z produkcją przemysłu państwowego, zestrajając zasadnicze elementy narodowego planu gospodarczego.

Tak więc nowa spółdzielczość chłopska, która wpisała do swego programu związek z ruchem politycznym i zawodowym chłopów, zmieniająca układ gospodarczy od zewnątrz stała się wreszcie istotną części nowego ustroju i współdziałając z nim osiągnie zapewne prędzej człowieka — wolnego twórcę życia, niż awansująca kiedyś w kapitalizm spółdzielczość.

Wiesław Jażdżyński

Witold Jedlicki

TRZECI ZJAZD Z. Z. L. P.

Trzeci po wojnie Walny Zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu stanowi ważne wydarzenie w życiu nie tylko kulturalnym, ale i politycznym Polski. Sam fakt wyboru Wrocławia na miejsce zjazdu świadczy o żywionej przez literatów chęci zamanifestowania polskości Ziem Odzyskanych, ale nie tylko miejsce, bo także czas zjazdu jest czynnikiem ważności politycznej tego wydarzenia. Zjazd odbył się w momencie, w którym państwo — jak to zapewnił w swoim przemówieniu powitalnym Min. Kultury i Sztuki Ob. Stefan Dybowski na skutek osiągnięcia stabilizacji na polu gospodarczym jest w stanie położyć główny nacisk na problemy odbudowy kulturalnej.

Zjazd odbył się niewątpliwie pod znakiem jedności. Można śmiało stwierdzić, że troska o odbudowę kulturalną Polski nurtuje w równym stopniu wszyskich pisarzy, że nie ma poważnych trudności w określeniu pewnego minimum ideologicznego wspólnego dla marksistów i dla katolików. Będzie to przede wszystkim pełne zrozumienie konieczności funkcji społeczno - wychowawczej literatury, zrozumienie tego, że przemiany społeczne, zachodzące w tej chwili w Polsce wymagają pozytywnego stosunku twórczości literackiej.

Zasadniczym postulatem formalnym wysuniętym na zjeździe jest postulat realizmu, realizmu nie ograniczającego się do opisu drobnych faktów życia codziennego, lecz realizmu zajmującego się generalnymi problemami życia społecznego ze wszelkim ich uwarunkowaniem genetycznym. Mało tego. Nie powinien być to wyłącznie naturalistyczny, „gorzki" realizm typu Caldwella czy Steinbecka całkowicie usprawiedliwiony i zrozumiały we współczesnej rzeczywistości amerykańskiej, realizm pierwszej linii frontu. Realizm polski na skutek odmiennej sytuacji społecznej musi być wyrazem woli przeobrażenia rzeczywistości, środkiem wychowawczym, wyrazem entuzjazmu dla spraw postępu, wyrazem optymizmu i wiary w cel naczelny: wyzwolenie człowieka. Toteż wystąpienie Stefana Kisielewskiego, który stwierdził, że taka interpretacja realizmu jest wypaczeniem właściwego znaczenia tego słowa, że jest to jakiś idealizm realistyczny opisujący nieznaną przyszłość bez pokrycia w rzeczywistości, i ośmielił się nazwać ten postulat fałszerstwem intelektualnym, było jedynie dowodem niezrozumienia problemu. Kisielewski nie zrozumiał, że wobec wyraźnie zarysowującego się podziału pomiędzy dwoma typami współczesnej literatury światowej — z jednej strony literatury ludowego optymizmu, stawiającej perspektywę lepszego jutra dla wszystkich, z drugiej strony literatury drobnomieszczanina kapitulującego przed zwycieskimi siłami przygniatającego go imperializmu, literatury stawiającej perspektywę rozpaczy, beznadziejności i sytuacji bez wyjścia, wybór tej drugiej możliwości, równałby się samounicestwieniu, byłby antyhumanistyczny. Dyskusję na temat kryteriów pozwalających określić, który z dwóch humanizmów: marksistowski czy katolicki jest prawdziwy, a który fałszywy, rozstrzygnął Stefan Żółkiewski przyjęciem pragmatystycznego kryterium: ten humanizm jest prawdziwy, który lepiej realizuje cel wyzwolenia człowieka. W związku z tym Żółkiewski przeprowadził krytykę humanizmu katolickiego i określił bliżej jego cechy fałszywe: idealizowanie przeszłości i teraźniejszości, przemilczanie gorzkich prawd, przesuwanie akcentu na sprawy nieistotne i drugorzędne, wreszcie tak często spotykana u pisarzy katolickich fatalistyczna koncepcja człowieka w sidłach grzechu przynajmniej częściowo zdeterminowanego przez siły nadprzyrodzone. Dlatego też replikując Jerzemu Zawieyskiemu Żółkiewski stwierdził, że jeżeli katolicy używają personifikacji szatana na określenie sił politycznych, walczących z postępem, to w takim razie cały spór jest czysto werbalny i zgoda może nastąpić; tym nie mniej, jeżeli sadzą oni, że grzech jest to pojęcie bliżej niezdefiniowane, to w takim razie różnice stanowisk są bardzo poważne.

Żókiewski zajął się jeszcze sprawą naszego stosunku do tradycji kultury polskiej. Jego zdaniem nowatorstwo formalne nie może przekreślić ciągłości kulturalnej i pietyzmu wobec całej kultury przeszłej. Ze specjalną uwagą należy potraktować myśl postępową w historii piśmiennictwa polskiego i skasować wyroki klasowe uniemożliwiające dostęp do dzieł pisarzy postępowych dla szerszego ogółu (np. zupełnie zapomniane pisma Mierosławskiego, twórczość Mickiewicza w ostatnim okresie jego życia stawiająca go w szeregu bojowników o postęp i celowo przemilczana na rzecz jego twórczości z okresu mesjanistycznego). Oceniając literaturę powojennego trzechlecia Żółkiewski skonstatował wyraźne zmiany formalne. O ile przed wojną w powieści polskiej dominował post-ekspresjonizm, kult nonsensu i deformacji, w najlepszym wypadku przejaskrawiona analiza psychologistyczna, prawie zawsze zaś negowano zupełnie determinanty socjologiczne w konstrukcji losu ludzkiego, o tyle w okresie powojennym nastąpiło na ogół z nielicznymi wyjątkami przesunięcie motywacji powieściowej z czynników psychologicznych na socjologiczne. Jakkolwiek dają się zauważyć braki, polegające przede wszystkim na zbyt jednostronnym, nie ogarniającym często, ani całości, ani nawet problemów hierarchicznie najważniejszych widzeniu inteligenta, to jednak postęp jest olbrzymi. Dyskusja na ten temat pomiędzy Wojciechem Natansonem a Tadeuszem Hołujem określiła jeszcze raz stanowisko obozu polskiego postępu w tej sprawie. Natanson domagał się prawa do eksperymentu, prawa do buntu twórczego, prawa do ostrego widzenia świata i prawa do komplikacji w literaturze. Na to zareplikował Hołuj, twierdząc, że wobec tylu potrzeb hierarchicznie ważniejszych, wobec tylu zamówień społecznych literatura polska najpierw musi spełnić swoje obowiązki, zanim zacznie korzystać z praw.

Zasadniczym problemem nowej literatury polskiej (na to znowu zgadzali się wszyscy) jest problem wychowania nowego czytelnika. Marksiści (**Sokorski, Żółkiewski**) bardzo ściśle określali swoje postulaty: przełamanie obojętności kulturalnej społeczeństwa, zdobycie i ukształtowanie rynku robotniczego, oczyszczenie robotnika z tradycji i nawyków mieszczańskich, oraz demoralizacji wojennej przy jednoczesnym asymilowaniu czytelnika mieszczańskiego w środowisko robotnicze. Sprawą nowego czytelnika chłopskiego zajął się Jan Aleksander Król. Król postulował zwiększenie wiedzy społecznej o wsi polskiej na miejsce całkowitej obojętności lub błędnych tradycyj kulturalnych, jak ludomaństwo, a w literaturze idealizacja chłopa (szczególnie posiadającego), słowem wszystkie te treści kulturowe tworzone z pełną samowiedzą socjologiczną przez klasy posiadające w celu zachowania status quo przy jednoczesnym „obłaskawianiu" dynamiki rewolucyjnej chłopa polskiego. Realizacja tych wszystkich postulatów może odbyć się wyłącznie poprzez ścisłe planowanie szczególnie w dziedzinie wydawnictw: najradykalniejszym punktem planu wydawniczego będzie całkowite wyeliminowanie szmiry literackiej. Ponadto padł projekt stworzenia literatury drugiej klasy, literatury nieszkodliwej społecznie, a dostępnej dla robotnika i chłopa na początkowym stadium jego rozwoju kulturalnego.

W toku dyskusji okazało się, na jak olbrzymie trudności napotyka odbudowa kulturalna ze strony bądź to warunków obiektywnych, bądź też złej woli jednostek i tutaj zjazd powziął szereg doniosłych uchwał w celu usunięcia przeszkód. Postanowiono załatwić spory z wydawcami, radiem, filmem, teatrem, zlikwidować przerosty biurokratyzmu. Osobny problem stanowiło zagadnienie solidarności zawodowej i samowystarczalności finansowej związku. Dotychczasowy stan rzeczy (zaledwie około 7,5 milj. zł. obrotu rocznego) zmuszał literatów do ciągłego korzystania z subwencji rządowych. Sytuacja finansowa Związku ma się na przyszłość poprawić poprzez ustawę o dwunastu autorach oraz przez odsetki od wydawnictw pisarzy o wygasłych prawach autorskich. Takie postawienie sprawy dopiero umożliwi podniesienie autorytetu pisarza w społeczeństwie.

Nowy Zarząd wybrany przez zjazd przedstawia się następująco: Prezes — Jarosław Iwaszkiewicz, wiceprezesi — Stefan Żółkiewski, Jerzy Zawieyski, sekretarz — Juliusz Żuławski, członkowie Zarządu — **Kazimierz Wyka, Wilhelm Szewczyk, Michał Rusinek.**

W OSTATNIM 45 (124) NUMERZE „WSI"
z dnia 23 listopada 1947 r.:

Witold Łukaszewicz — Rewolucja francuska 1789—1794 ze stanowiska społeczno-gospodarczego; **Gerard Ciołek** — Podstawy regionalnego planowania wsi; **Anna Kamieńska** — Przodownicy kultury na wsi; **Listy pisarzy** — Lucjana Rydla i Jantka z Bugaja; **Bohdan Baranowski** — „Szkolne mizerie", **Lech Budrecki** — Jeszcze raz prowincja; **Zdzisław Skwarczyński** — Edukacja chłopów w romansie XVIII w.; **Jan Chodźko** — Pan Jan ze Świsłoczy; Fakty i zdania: **Zdzisław Szrajer** — Czy naród niemiecki jest winien? **Krzysztof Kolumb** — Amerykańskie żywoty świętych; **Bronisław Marcinek** — Zaczarowany świat; **Paulina Czyżowa** — Kisielowi z Tygodnika Powszechnego; **Wojciech Breowicz** — List z Brazylii; 13 ilustracji, ogłoszenia, komunikaty, 8 stron.

ZE ŚLĄSKA

Bronisław Mazur

W KOPALNI

**Czarny górnik — czarna jego dłoń
zwymowniała uściskiem w podziemiach —
gdy ujrzałem
w sztolni błysk oskardów,
świdrów nagły język,
i wybuchów płomień
i do wind sunące węgla bryły twarde —**

**tutaj słowem każde uderzenie —
czujne drgnienie płomyka latarki
— a na zrębach łamiące się cienie
mylą śmierć zawisłą nad karkiem —**

**lecz górnik wrył się
w najtajniejszą sortę
(a tętno kopalni jego tętnem dzwoni)
bo miliony czekają na czarne transporty
— na jego barkach wsparte miliony.**

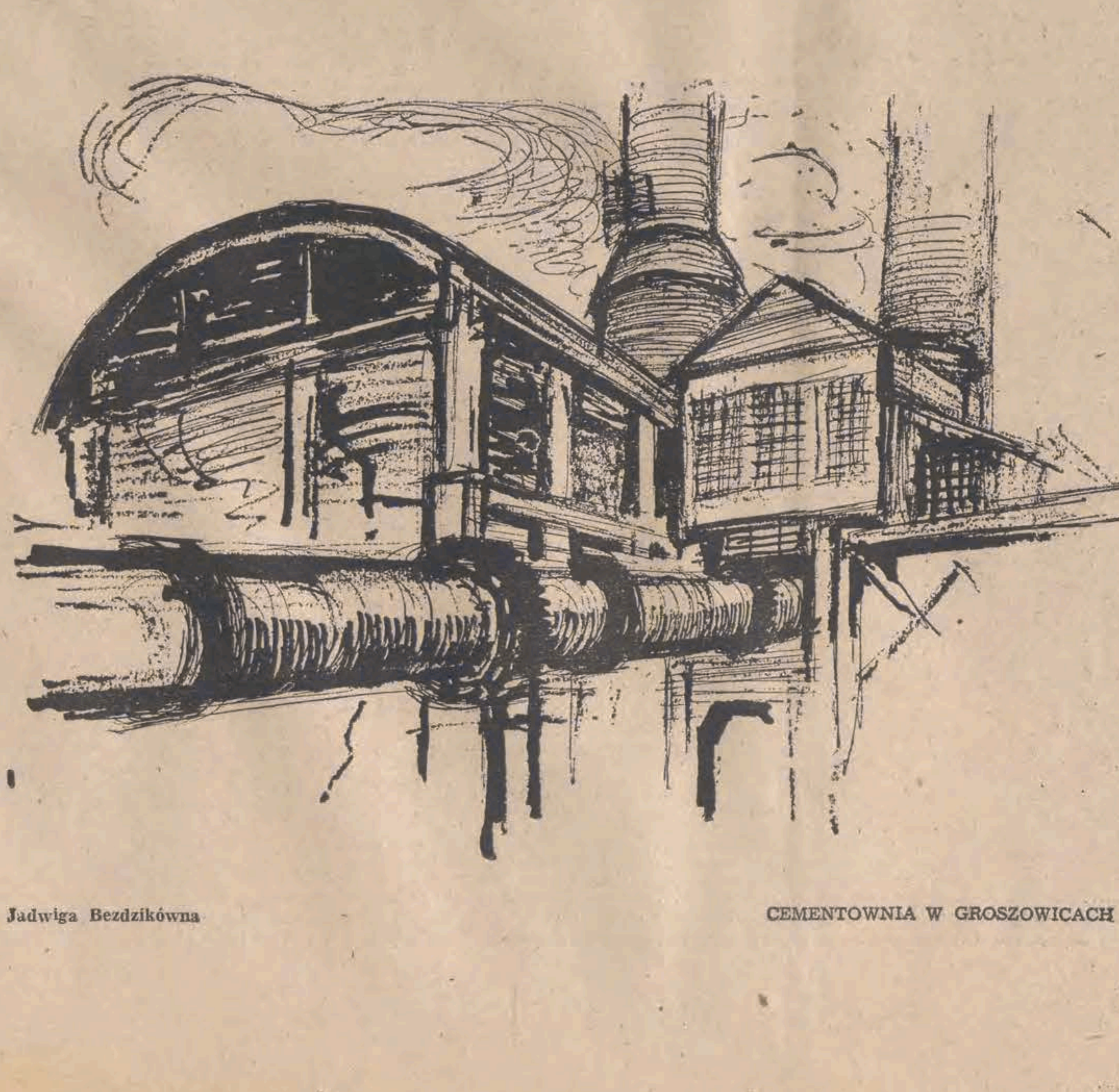
MOST NA POLSKĘ

**Na tej ziemi myśląc o pracy
mówię
Śląsk —
dni tu, jak noce — a noce czerwone —
słońce zapala się jakby raca,
a tylko ciągle wielkie piece płoną — —**

**śpiewają
windy i elewatory —
węgiel dla pieców,
węgiel dla silosów — —
zapatrzony
zginąłem wśród huku i pośpiechu
aż —
jakby mię odczyniło ramię
zarzuconego na Polskę mostu;
— jadące nim
konstrukcje, dźwigi i motory.**



Stefan Gierowski Z KOPALNI WĘGLA W BYTOMIU



Jadwiga Bezdzikówna CEMENTOWNIA W GROSZOWICACH

Wrocławska mowa

Prezydenta Rzeczypospolitej

(Wyjątki)

Dzisiejsza uroczystość otwarcia radiostacji wrocławskiej, jak również okoliczność, że temu ważnemu zjawisku naszego życia kulturalnego towarzyszy niemniej poważne wydarzenie z tejże dziedziny — zjazd we Wrocławiu literatów polskich, którzy obradować będą nad sprawami dalszego rozwoju naszej kultury — skłania do skoncentrowania dziś naszej uwagi na tym właśnie zakresie zadań.

Są to zadania równie doniosłe zarówno na terenie Ziem Odzyskanych, jak i na terenie całego kraju. Ale sądzę, że nie jest bynajmniej rzeczą tylko przypadku, że ludzie owiani troską o prawidłowy rozwój naszego życia kulturalnego pragną dać wyraz tej trosce właśnie tutaj na Ziemiach Odzyskanych, gdzie niewątpliwie najbardziej uwidacznia się rozdźwięk między dynamiką osiągnięć gospodarczych, a niezaspokojonymi potrzebami życia umysłowego. Jakkolwiek zrozumiałymi i wytłumaczonymi wydawałyby się przyczyny tego rozdźwięku, jest rzeczą niewątpliwą, że nowe warunki życia Polski Odrodzonej wymagają właśnie usunięcia wszelkich nierówności w rozwoju człowieka.

Zadanie to nie jest ani proste, ani łatwe. Upośledzenie kulturalne wielkich mas ludu pracującego ma swe bezpośrednie źródło w ich upośledzeniu ekonomicznym, w ciężkich warunkach ich bytu materialnego. Jest to najbardziej ponura spuścizna ustroju społecznego, który dbał tylko o wysoką stopę życia warstw uprzywilejowanych i pasożytniczych.

Kapitalizm rozwinął wspaniałe środki techniczne, ale skazując masy ludowe na nędzę, na wykolejenie, na ciemnotę, na najniższy poziom bytu materialnego i duchowego — tłumił i hamował w ludziach wzrost potrzeb kulturalnych w oparciu o wielkie zdobycze wiedzy, cywilizacji i kultury. W chciwości i pogoni za zyskiem, w żądzy panowania nad światem doprowadził do wyniszczenia nie tylko wielowiekowy dorobek kultury, ale samego człowieka.

Aby wyrównać wielką krzywdę społeczną mas ludowych czynimy wysiłki, aby podnieść ich stopę życiową, aby z kraju zacofanego gospodarczo uczynić kraj przodujący w dziedzinie przemysłowej i technicznej. Nie można tego osiągnąć bez równoczesnego podniesienia poziomu oświaty, nauki i kultury mas ludowych, bez równoczesnego kształtowania nowego typu człowieka, człowieka przodującego, który potrafi świadomie budować, który potrafi opanować technicznie swoją pracę, który potrafi zrozumieć i ocenić zadania i drogi naszego ogólnonarodowego rozwoju.

A więc, aby iść szybko naprzód, aby wydobyć się z tej ponurej spuścizny zniszczeń i zacofania, aby utorować narodowi wolną drogę pełnego rozkwitu jego sił twórczych, konieczny jest rozwój nie tylko przemysłu i rolnictwa, konieczny jest również szybki rozwój oświaty, nauki, kultury i sztuki, konieczny jest równoczesny rozwój pełnych potrzeb materialnych i duchowych człowieka.

Wynikiem ustroju opartego na przeciwieństwach społecznych był sztuczny i nieosiągalny dla mas ludowych dystans między człowiekiem ciężkiej pracy fizycznej i człowiekiem nauki, kultury i sztuki. Radość życia na wysokim poziomie zdobyczy wiedzy, kultury, sztuki, była dostępna dla niewielu wybranych. Inteligencja zawodowa, ludzie nauki, wychowawcy, artyści, pisarze, muzycy, poeci, malarze, utalentowani wykonawcy dzieł sztuki i różnorodni posłannicy kultury, oddziaływujący na wyobraźnię, uczucia, myśli i wzruszenia ludzkie, byli oddzieleni nieprzebytym murem od wielkich mas narodu, tworzących w pocie czoła materialne podstawy wiedzy, kultury i sztuki.

Wolny od przesądów działacz naukowy i kulturalny twórca czy wychowawca musi zdawać sobie przede wszystkim sprawę, że podstawowym źródłem jego twórczości jest ciężka praca robotnika i chłopa, codzienny mozolny wysiłek ludu pracującego, który go żywi i karmi, wobec którego jest on moralnie zobowiązany.

Cechą znamienną naszego okresu jest to, że nie wybrane tylko warstwy i nie wyjątkowe tylko postacie, nie indywidualni bohaterowie, ani elita wytrawnych smakoszów wiedzy, sztuki, czy kultury, działają dziś na potężnej scenie dziejowych przemian narodów. Cóż warta byłaby twórczość artystyczna, cóż warta byłaby sztuka, wiedza, czy literatura, która by nie dostrzegała, nie pojmowała, nie czerpała natchnienia z tych głęboko rewolucyjnych przemian i zjawisk, które się dokonywują, które nurtują w umysłach, które wstrząsają podświadomie psychiką milionów prostych ludzi.

Najzupełniej nieuzasadnionym i fałszywym jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, dostosowania jej do specyficznego, jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynarnych lub sprośnych. Wprost przeciwnie. Przeżyciom ludzi prostych, ludzi ciężkiej, mozolnej pracy obcą jest nieokiełznana zmysłowość, wyrafinowany erotyzm różnych pasożytów — spekulantów i ludzi bez jutra, ludzi dnia wczorajszego. Tęsknoty duchowe, przeżycia wzruszeniowe ludzi pracy szukają z reguły ujścia w głęboko etycznych, społeczno wyzwoleńczych ideach i obrazach.

Sztuczna, wulgarna „kultura ludowa", sztuka dla maluczkich —— oto wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopa czy robotnika.

Witold Łukaszewicz

ZAGADNIENIE SOCJALNE REWOLUCJI*)

(Rewolucja Francuska r. 1789 - 94)

MIEJSKA I WIEJSKA BIEDOTA

Był w tym ubogim państwie, w bogatym kraju, obok potężnej burżuazji i zrujnowanych gospodarstw feodałów, jeszcze jeden czynnik, któremu rewolucja miała dużo do zawdzięczenia. Był on „niczym" w monarchii Ludwika XVI i w stanie trzecim. Na imię mu — **miejska i wiejska biedota!**

Na jej czele ruszyła burżuazja do boju „ze starym porządkiem", rozpoczynając Rewolucję. Biedota francuska nie stanowiła w owym czasie zorganizowanej, świadomej swych celów politycznych i innej formy własności klasy społecznej, była liczna, pędziła żywot godny pożałowania. Do dzisiaj nie została jej rola w Rewolucji wyczerpująco oświetlona przez historiografię francuską i obcą. Biedota miejska liczyła 2 miliony 385 tysięcy na 5 milionów 810 tysięcy ogółu ludności miejskiej we Francji, czyli 50%; biedota wiejska (bezrolni) stanowiła 5 milionów 354 tysięcy na 20 milionów 687 tysięcy czyli 26,3% ogółu ludności włościańskiej. Łącznie miejska



Hébert
rysunek Gabriela

i wiejska biedota liczyła 7 milionów 739 tysięcy na 27 milionów 550 tysięcy ogółu ludności Francji w r. 1789, czyli stanowiła 28,4%. Cała natomiast wielka burżuazja liczyła zaledwie 500 tysięcy, czyli niespełna 2% ludności Francji. (Macleod-Machlejd; op. c. str. 47—63). Wskutek ciężkiego położenia na wsi bezrolni chłopi napływali gromadnie do miast jako centrów przemysłowych i handlowych w poszukiwaniu pracy zarobkowej. Przyjmowali zatrudnienie w fabrykach, manufakturach, szli do terminu do majstrów, służyli u burżujów i u szlachty urzędniczej. Przejściowe kryzysy w pewnych gałęziach przemysłu, zwłaszcza od zawarcia w r. 1786 niekorzystnego dla większości przemysłowców francuskich traktatu handlowego z Anglią, odbijały się ujemnie na warunkach bytowania rzeszy robotniczej, powodowały redukcje w warsztach pracy, bezrobocie i w następstwie nędzę i głód. Paryż, największe miasto Francji, liczył w roku 1789 — 600 tysięcy mieszkańców i był najliczniejszym zbiorowiskiem tej biedoty, która tu napływała ze wszystkich zakątków kraju w poszukiwaniu zarobku. Plebs stanowił więcej jak połowę ludności stolicy Francji, był nastrojony rewolucyjnie i dlatego został wykorzystany przez burżuazję jako taran do rozbijania jej przeciwników politycznych. Uzmysłowienie należyte tego faktu wyjaśnia nam zagadkę, dlaczego Paryż był motorem Rewolucji przez cały czas jej trwania. Tam było najsilniejsze skupisko rewolucyjnej burżuazji i najliczniejsza rzesza plebejska, rozrzucona po 60 „dystryktach", przemianowanych z kolei na 48 „sekcyj" dzielnicowych.

Robotnicy fabryczni i manufaktur, czeladnicy i terminatorzy, służba domowa i tak liczni w Paryżu żebracy, objęci w czasie Rewolucji nazwą „obywateli biernych" (do 11 sierpnia 1792 roku), pozbawieni praw politycznych, ponieważ nie opłacali podatku równowartości trzech dniówek roboczych czyli 4, 5 franka, oberwani, bez własnego kąta i warsztatu, zamieszkujący przedmieścia Saint-Marcel i Saint-Antoine — oto taran Rewolucji w rękach burżuazji! W miastach prowincjonalnych stosunki podobnie układały się w tym względzie jak w stolicy Francji. 28,4% ogółu ludności francuskiej bez praw politycznych i wystarczających środków utrzymania — to coś znaczy, to wyjaśnia nam, dlaczego hasła równości politycznej i socjalnej świadomie wypaczane przez rządzące kolejno obozy: Feuillantów, Żyrondystów, Górali i Thermidorystów, znajdowały wzięcie w masach sankiulockich. Wiemy dobrze, że piękne słówka o wolności i ludzkości bardzo często kryją régime wyzysku i ucisku. Rewolucja Francuska proklamowała prawa człowieka i obywatela, lecz klasy posiadające rozumiały pod tymi pięknie brzmiącymi słowami — prawa burżuazji i kapitału. One głosiły, że ludzie są wolni wówczas, gdy posiadający nie będą mieli nad nieposiadającymi innych środków dominacji jak samą własność; lecz własność — to siła suwerenna, która rozporządza wszystkim. Istotę rewolucyjnej burżuazji stanowił zatem egoizm klasowy, zabarwiony hipokryzją. Po każdym zwycięstwie, odniesionym nad królem, niedobitkami arystokratycznymi i klerem przy pomocy proletariuszy, burżuazja porastała w pierze władzy i zarabiała na Rewolucji, dzieląc się częściowo zyskami z zamożnym chłopstwem. Tak było z kupnem dóbr kościelnych i poemigranckich, które stały się przedmiotem ożywionych spekulacyj; tak było z dostawą żywności do miast. Burżuazja wywołała Rewolucję przy pomocy chłopów i miejskiej biedoty oraz nielicznej grupy niezadowolonych uprzywilejowanych, zdobyła władzę polityczną, obaliła ustrój feudalno-absolutny, obaliła nawet monarchię konstytucyjną, ale dalej iść nie chciała, gdyż bała się rewolucji socjalnej i zmian w prawie własności. Stała niezachwianie w obronie tego prawa, odrzucając uporczywie wszelką inicjatywę, zmierzającą do uspołecznienia handlu, przemysłu i własności rolnej, podejmowaną przez utopistów komunistycznych i „wściekłych" w latach: 1789—1794. Burżuazja popierała Rewolucję o tyle naprzód, o ile to odpowiadało jej kapitalistycznym interesom. Zorganizowana w klubach politycznych w Paryżu i na prowincji, opanowała kolejno zmieniające się organy ustawodawcze: Konstytuantę, Legislatywę, Konwencję Narodową; świeciła triumf za Dyrektoriatu i zgubiła Rewolucję, powierzywszy jej losy w ręce cezara Napoleona Bonapartego, któremu nie omieszkała zbudować wiekuistej legendy. Wszyscy najbardziej wpływowi mężowie Rewolucji służyli interesom burżuazji; ona trzęsła Klubem Jakobinów, steroryzowała Kordelierów, opanowała administrację, była mózgiem wydarzeń, wysługując się plebsem jako taranem do łamania wszelkiego oporu wewnętrznego jak i zewnętrznego.

Olbrzymią usługę wyświadczyli burżuazji w pierwszej fazie Rewolucji chłopi — posiadacze w liczbie 15,3 milionów. Na pierwszy zew z Paryża, na hasło bojowe, którym było zburzenie Bastylii przez lud paryski przy wybitnym współudziale bankierskich dukatów, rozdzielanych szczodrze ręką zauszników zdymisjonowanego Neckera, chłopi — posiadacze w pierwszym odruchu wywołali „żakerię", zniszczyli gdzie się dało archiwa świadczeń feodalnych i zamki seniorów. Po osiągnięciu tego zwycięstwa nad feodałami zarabiali odtąd ciągle na Rewolucji; przez dalsze powstania uzyskali całkowite zniesienie przeżytków ustroju feodalnego w rolnictwie, które chciała koniecznie zatrzymać dla własnych korzyści ugruntowująca się na wsi i próbująca zastąpić tam dawną szlachtę — burżuazja! (A. Aulard: La féodalité sous la Révolution, 1913).

Te same masy chłopów - posiadaczy zachowały się w latach największego nasilenia rewolucyjnego wrogo, a w najlepszym wypadku biernie wobec tworzącego się nowego porządku, popierały rozłam wewnętrzny, spowodowany przez konstytucję cywilną duchowieństwa, zasilały rewoltę federalistyczną, organizowaną przez rozgromioną w Konwencji Żyrondę do spółki z emigrantami i klerem, one wreszcie utrzymywały swym chłopskim uporem powstanie w Wandei. Majętny chłop tak, jak jego maitre burżua, nie chciał iść na radykalizm społeczny, bał się komunizmu, występującego podówczas pod przykrywką „prawa agrarnego" (loi agraire). Dla niego wystarczała w zupełności „Deklaracja Praw", zapewniająca wszystkim równość wobec prawa, równości majątkowej nie chciał. Chętniej słuchał zakapturzonego księdza lub ex-mnicha, niż umiarkowanego w poglądach społeczno - gospodarczych Robespierre'a i komisarzy Konwecji, tłumiących rewoltę federalistyczną i organizujących obronę Francji przed wrogami zewnętrznymi. Poparła natomiast spontanicznie dzieło komisarzy Konwencji miejska i wiejska **biedota.** To jej przede wszystkim zawdzięcza Francja swoje ocalenie!

WIELKOŚCI REWOLUCYJNA, GDZIE TWOJE IMIĘ?

Wielkość Rewolucyjna — to Wielki Nieznany Plebs Francuski, nazywany pogardliwie przez burżuazję i byłych uprzywilejowanych: „motłochem, kanalią", zamieszkujący najnędzniejsze przedmieścia paryskie: Saint - Marcel i Saint - Antoine oraz setki miast prowincjonalnych i wsi Francji; to ta krzykliwa masa, uzbrojona w piki, obdarta, w czerwonych czapkach frygijskich i długich pantalonach, maszerująca na Bastylię w lipcu 1789 r.; szturmująca 20 czerwca 1792 roku Tuilleries; obalająca zdradziecki tron Bourbonów po morderczym ataku 10 sierpnia 1792 roku: miażdżąca 31 maja i 2 czerwca 1793 r. uwikłaną w zdradę własnego narodu i knującą kontrrewolucję do spółki z reakcją klerykalno - szlachecką burżuazyjną Żyrondę. Posłusznie i ofiarnie szedł Wielki Nieznany do boju o cudze interesy, nie zdając sobie sprawy z tego, iż był narzędziem intrygi, gotującej w konsekwencji grób Republice, za którą tyle krwi przelał. Uczestniczył z reguły w rozgrywkach między bożkami Rewolucji, wynosił jednych, obalał drugich, mordował, niszczył... Był murzynem w Rewolucji: zrobił swoje i musiał odchodzić! Grali na jego nieświadomości i uczuciach wielcy sługusi burżuazji: Mirabeau, Bailly, Lafayette, Brissot, Roland, Vergniaud, Danton, M. Robespierre oraz święci thermidora: Barras, Fouché i Tallien — wszyscy grabarze Rewolucji.

Burżuazja, uchwyciwszy w swe dłonie ster Rewolucji, nie działała jednolicie, rozbiła się na zwalczające się nawzajem obozy. Jak Saturn pożerała własne dzieci. Przyznawał to wyraźnie sam „złotousty" Vergniaud na posiedzeniu Konwecji w dniu 13 marca 1793 r. Umiarkowana burżuazja zgrupowała się wokół Żyrondy, rewolucyjne doły drobnomieszczańskie, które cierpiały niedostatek wskutek konkurencji wielkich kapitalistów, spekulacji, spadku kursu asygnat i wzrostu cen na środki żywności, szły za Górą Robespierre'a. Uwaga kierownictwa Górali była wszakże skupiona w pierwszym rzędzie na plebsie-owej „kanalii", której używano w razie konieczności do łamania oporu Żyrondy i „Bagna" w Konwencji. Wszyscy ci, którzy usiłowali odebrać Górze ów plebejski taran Rewolucji, byli uznawani przez Robespierre'a i jego sztab jakobińsko - kordelierski oraz zaufanych mandatariuszy w Komunie Paryża za wrogów Rewolucji. To dla nich w pierwszym rzędzie była przeznaczona gilotyna!

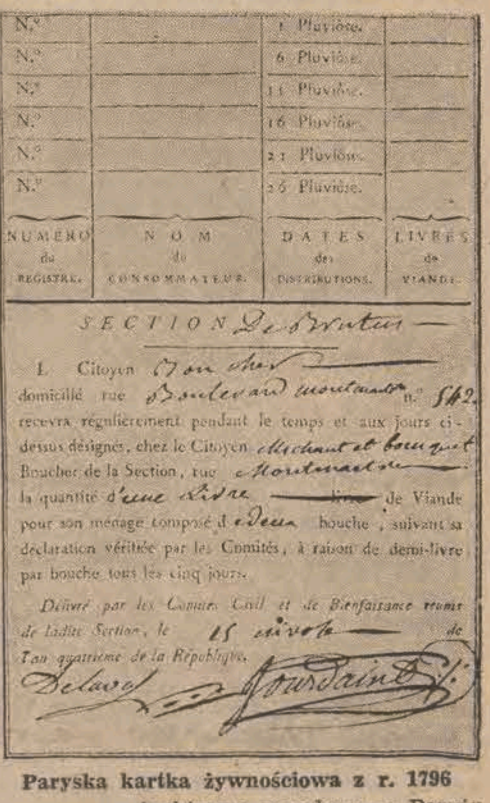
ZAGADNIENIE REWOLUCJI SOCJALNEJ

Rewolucja socjalna była zwalczana tak przez Żyrondę jak i Górę, które uważały ją za przedwczesną i szkodliwą. Nie przeszkadzało to bynajmniej, że oba zwalczające się obozy polityczne wzajemnie się oskarżały o usiłowanie jej przeprowadzenia. Kiedy w roku 1792 Momoro i Dufour zaatakowali publicznie własność gruntową, oszczędzając przemysłową, burżuazja żyrondystowska i góralska, która nie obawiała się wywłaszczyć kościoła francuskiego i emigrantów, podniosła wielkie larum w obawie że propaganda przeciw własności rolnej przerazi nabywców dóbr narodowych i zwróci przeciw Rewolucji dotychczasowych jej przyjaciół z warstw posiadających oraz zachwieje finansami państwa. W miarę jak umacniała się demokracja polityczna, burżuazja powtarzała coraz częściej, że własność jest święta i nienaruszalna. Nawet w tym momencie, kiedy siła ludowa stawała się dla Rewolucji coraz bardziej potrzebna, aby przez nią zastąpić umiarkowaną burżuazję, Góra Robespierre'a stawiała sobie pytanie, czy przez dopuszczenie plebsu do władzy i przez uwzględnienie jego społeczno - gospodarczych postulatów Rewolucja nie wkroczy na równię pochyłą. (Jaurés: La Convention, I, str. 137. Wyd. z roku 1901. Bibl. Miejska Łódź nr. 29234).

„Prawo agrarne", pod którym rozumiano powszechnie we Francji obok postulatu równego podziału ziemi między obywateli także zespół środków, mających unormować prawo własności w ogóle, oraz całość rewindykacji socjalnych, należnych „obywatelom biernym", było w rękach Żyrondystów argumentem do wysuwania oskarżeń pod adresem Góry, chociaż oni dobrze wiedzieli, że ani Robespierre, ani Marat, Danton, Saint-Just, Collot D'Herbois, Hebert, Chaumette i Billaud - Varennes nie byli zwolennikami faktycznej równości socjalnej.

Mieli oni własne koncepcje ustroju społecznego, sformułowane pod przemożnym wpływem teoryj ekonomicznych Quesnaya i Smitha. (Fizjokratyzm i liberalizm). Wywody Doliviera, Petijeana, Momoro, Dufoura, Bonneville'a, Lange'a oraz „wściekłych" — Jakuba Roux w sprawie socjalizacji życia gospodarczego we Francji nie znajdowały u Górali chętnego posłuchu. Na stosowanie „Maximum" i zwalczanie spekulacji zdecydowali się Górale Robespierre'a dopiero pod naciskiem ulicy opanowanej w roku 1793 przez J. Roux i jego zwolenników. Robespierrystyczny sztab jakobińsko - kordelierski, zagrożony wymknięciem się władzy nad sankiulotami, postanowił zlikwidować niewygodnego wodza „wściekłych" i przyjąć częściowo jego program społeczno - gospodarczy celem uciszenia nastrojów biedoty.

Fanatyczny Jakub Roux, który od stycznia do czerwca 1793 roku podburzał wraz z Varletem i Różą Lacombe masy paryskie przeciw spekulantom żywnością i walutą oraz



N.°		1 Pluviôse.	
N.°		6 Pluviôse.	
N.°		11 Pluviôse.	
N.°		16 Pluviôse.	
N.°		21 Pluviôse.	
N.°		26 Pluviôse.	
NUMERO du REGISTRE.	NOM du CONSOMMATEUR.	DATES des DISTRIBUTIONS.	LIVRES de VIANDE.

SECTION

Le Citoyen domicilié rue n.° 542 recevra régulièrement pendant le temps et aux jours ci-dessus désignés, chez le Citoyen Boucher de la Section, rue la quantité d'une Livre de Viande pour son ménage composé d' bouche, suivant sa déclaration vérifiée par les Comités, à raison de demi-livre par bouche tous les cinq jours.

Délivré par les Comités Civil et de Bienfaisance réunis de ladite Section, le 15 de l'an quatrième de la République.

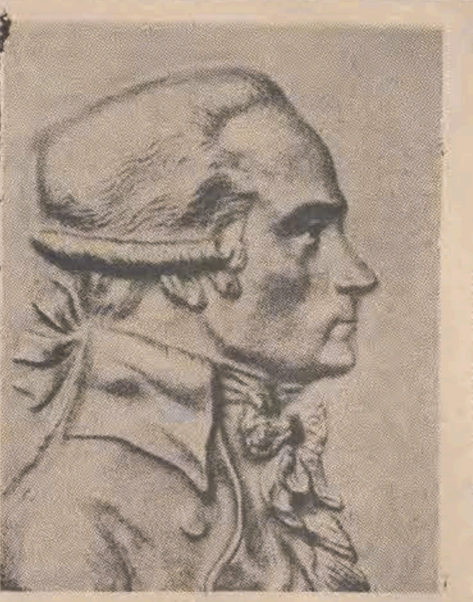
Paryska kartka żywnościowa z r. 1796
Archiwum narodowe w Paryżu

domagał się wprowadzenia przez Konwencję cen sztywnych na artykuły pierwszej potrzeby, nie był według Jaurésa na drodze do komunizmu, gdyż nie opierał swego ruchu na elemencie robotniczym z przedmieść Saint-Marcel i Saint-Antoine, lecz na drobnej rzemieślniczej i handlowej burżuazji, zagrożonej śmiertelnie przez kapitalistycznych rekinów: wielkich kupców, fabrykantów, armatorów, którzy zmonopolizowali dostawę surowca i stanowili zabójczą konkurencję dla handlu detalicznego i rzemiosła.

Błędem w taktyce Jakuba Roux było jego odosobnienie polityczne od Jakobinów i głoszenie zasady niezależności mas od grup politycznych. Zgodnie z tą zasadą Jakub Roux podjął walkę z Robespierre'em, Saint-Just'em, Hebert'em i Chaumette'em faktycznymi przewódcami Jakobinów, Kordelierów i Komuny Paryża. Na rezultat takiej polityki „wściekłych" nie trzeba było długo czekać. Robespierre określił ruch „wściekłych", jako zamach na rewolucyjny porządek; zamach, inspirowany przez zagranicę dla osłabienia energii rewolucyjnej. Rouxa oskarżono niesłusznie o fałszerstwo, postawiono przed Trybunał Rewolucyjny i spowodowano jego samobójstwo w styczniu 1794 roku. Program „wściekłych" został w zasadniczych punktach przejęty przez Robespierre'a dla pozyskania mas ludowych. W interpretacji „Nieprzedajnego" (Robespierre'a) nie zagrażał on już rewolucyjnemu porządkowi, uświęcającemu wolność i własność. Bez cienia wyrzutów sumienia poświęciła Góra Jakuba Roux, bohaterskiego fanatyka walki o prawa do życia szarego obywatela; czyniła to dla uspokojenia umysłów klasy średniej i zażegnania rozszerzającej się wojny domowej, kierowanej przez rozgromioną w czerwcu 1723 roku w Konwencji burżuazyjną Żyrondę przez Górali Robespierre'a.

Poglądy społeczne wodza Góry Robespierre'a były ubogie. Unikał on walki klas, nie uznawał równości majątkowej; chciał demokracji suwerennej w dziedzinie politycznej, lecz statycznej w dziedzinie gospodarczej. Ideałem Robespierre'a było oparcie ustroju Francji na drobnej własności chłopskiej i mieszczańskiej. Obywateli dzielił on na dobrych i skorumpowanych, a nie na bogatych i biednych. Zamożność uważał za powód do osobistego nieszczęścia i sam chciał być biednym, aby nie zostać nieszczęśliwym. (Jaurés: La Convention II, str. 1216). Wódz Górali nie chciał jednakże zrywać kontaktu z ulicą, która schlebiała hasłom radykalnym „wściekłych", lecz nie życzył on sobie przede wszystkim tego, aby widmo rewolucji socjalnej spędzało sen z oczu średniej burżuazji. Dla niej to i dla chłopów posiadaczy liwido-

*) Patrz cz. I „Rewolucja Francuska 1789—1794 ze stanowiska społeczno - gospodarczego". „Wieś" Nr 45 (124).



Robespierre
plakieta współczesna

wał w marcu 1794 roku Herbertystów, którzy nieoględnie przejęli spuściznę po Jakubie Roux. Na dodatek przywrócił chłopom i burżuazji w trosce o ich szczęśliwość pozagrobową Najwyższą Istotę i urzędową wiarę w nieśmiertelność duszy!

Marat był temperamentem gwałtownym w służbie polityki umiarkowanej. Chciał usunąć wszelkimi środkami, aż do miecza włącznie, ludzi i partie, zagrażające wolności, lecz unikał starannie bezużytecznych komplikacyj i przedwczesnych posunięć, które mogłyby powiększyć kłopoty Rewolucji. Program społeczno - gospodarczy głosicieli „loi agraire" i "wściekłych" uważał Marat za nie do przyjęcia, gdyż mógłby on wywołać, ożywić i podtrzymać konrrewolucję, drażniąc burżuazję i chłopów posiadaczy. Dlatego zaatakował Marat Stowarzyszenie Obrońców Republiki, które domagało się od Konwencji 12 lutego 1793 r. wprowadzenia urzędowych cen na zboże, kar na spekulantów i uznania pełnej równości społecznej wszystkich obywateli. Marat uznał te żądania za akt szkodliwy dla sprawy wolności, inspirowany przez rojalistów w celu wywołania zamętu wewnętrznego we Francji stanowisko Marata, „przyjaciela ludu", harmonizowało wówczas doskonale z poglądami na tą kwestię żyrondystowskiej i góralskiej burżuazji.

Saint-Just martwił się tylko o warunki materialne, niezbędne do rozwoju Rewolucji i domagał się silnego rządu dla opanowania chaosu politycznego i gospodarczego. Jako środek mający zapewnić równowagę gospodarczą proponował ograniczenie emisji asygnat. (Jaurés: La Convention, I, str. 359).

Najdalej z Górali wybiegał prokurator Komuny Paryskiej — Chaumette. Wskazywał on na olbrzymie dysproporcje między burżuazją i biedotą, dotykał zagadnienia robotniczego, które Rewolucja zaprzepaściła. Żądał podwyższenia stawek płacy dla robotników proporcjonalnie do wzrostu kosztów utrzymania, stawek gwarantujących egzystencję. Chciał, aby nareszcie Rewolucja obróciła się na korzyść biedaka, który dotychczas jest tylko „lokatorem w swej ojczyźnie". Trzeba przyznać, że Chaumette miał rację. Rewolucyjna burżuazja poczęstowała robotnika francuskiego prawem Chapeliera, zabraniającym zawierania związków, odbywania zebrań i porozumień dla obrony interesów zawodowych. Burżuazyjna Konstytuanta bała się sprzysiężenia robotniczego przeciw istniejącemu jawnie sprzysiężeniu kapitalistów. (Zagadnienie robotnicze we Francji w dobie rewolucyjnej omówili gruntownie uczeni sowieccy: Kulischer, Tarlé i Jefimow. Patrz także ciekawe prace rosyjskie o Rewolucji w „Kniga dlja cztenja po istorii nowago wremienia" t. III. Moskwa 1912, str. 407—483).

Radykalny Billaud - Varennes upatrywał poprawę bytu mas ludowych w podjęciu przez państwo wielkich robót. Nie był on przeciwnikiem luksusu prywatnego i „cywilizacji burżuazyjnej". Uważał rozwój handlu i przemysłu za podstawę opłacalności rolnictwa. Równość społeczną chciał osiągnąć przez ograniczenie wielkiej własności rolnej i reformę prawa spadkowego, której zarys nakreślił w t. zw. „planie sukcesji narodowej". Każdy spadek miał być według recepty Billaud - Varennes'a dzielony bez względu na ilość spadkobierców na pięć działów. W wypadku, gdyby spadkobierców było mniej, niż pięciu, należy dobrać dzieci ubogich rodziców i rozciągnąć na nie prawo dziedziczenia spadku. Billaud - Varennes uznawał nadto prawo każdego człowieka do życia, do pracy i do własności indywidualnej. Daleko mu było do entuzjazmu dla „loi agraire" i programu społeczno - gospodarczego „wściekłych".

Nawet domagający się od konstytucji 1793 roku realizacji zasady lepszego porządku społecznego przez wprowadzenie po równości politycznej, równości faktycznej obywateli (l'égalité de fait) deputowany z Neuse Harmand nie żądał równości majątkowej, którą uznawał za przyczynę zamętu wewnętrznego Chciał on tylko ograniczyć nadużycia, wypływające z prawa własności i wyrównać wszystkie krzywdy, jakie te nadużycia wyrządziły masom.

Jak z powyższego przeglądu wynika, nie panował wśród Górali nastrój przychylny dla rewolucji socjalnej, której potrzebę przeprowadzenia głosili zwolennicy „prawa agrarnego" i „wściekli". Cóż dopiero mówić o burżuazji przemysłowej i handlowej, stanowiącej trzon Żyrondy? (C. d. n.)

Witold Łukaszewicz

Stanisław Lewicki

SPOŁECZNA SŁUŻBA ZDROWIA

Głos w dyskusji*)

Szeroko otwarte oczy na świat, pilna obserwacja dziejących się w nim przemian i gruntowne, fachowe wykształcenie ustrzec może lekarza od nieprzemyślanej działalności na polu nauki i pracy społecznej. Również i świadomość celu, do którego dążą lekarze oraz znajomość dróg jest warunkiem, bez którego wszelka praca będzie błądzeniem w ciemnościach, a efekt zależny od przypadku.

To też, zanim zacznie się dyskusję nad technicznym zorganizowaniem pomocy lekarskiej dla wszystkich obywateli, należy zastanowić się nad zakresem pracy lekarza.

Działalność lekarza może polegać na: 1) zapobieganiu chorobom w najszerszym tego słowa znaczeniu i 2) leczeniu chorych.

Z dwóch punktów obserwacyjnych można traktować zagadnienie leczenia i zapobiegania:

a) Pierwszym z nich, podejściem cechującym większość społeczeństwa polskiego, jest postawa **osobisto - moralna** wypływająca z etyki i tradycji chrześcijańsko-samarytańskiej bez uwzględnienia głębszych aspektów społecznych Nie chciałbym tutaj twierdzić, że działalność samarytańska jest aspołeczna — powtarzam, jest ona pozbawiona dalekowzroczności w dążeniu do podniesienia zdrowia i tężyzny fizycznej obecnych i przyszłych pokoleń. Lekarze uprawiający przede wszystkim tego rodzaju Judymową charytatywną misję, byliby dziś zapewne w niezgodzie z surowymi przepisami (na razie — w części projektami) warunkującymi zdrowie następnych pokoleń.

Nie zatrzymując się nad tym indywidualistycznym, aczkolwiek niezmiernie interesującym ujęciem zagadnienia, pragnę rzucić kilka uwag z tego drugiego punktu obserwacyjnego t. j. — społecznego.

b) Minister Zdrowia Publicznego sprzed 1923 r. dr T. Janiszewski mówił, że konieczna jest „dbałość społeczeństwa i państwa o ten najcenniejszy materiał organiczny, który jest jego najistotniejszą treścią, a tym materiałem są ludzie. Dbałość zatem o życie i zdrowie obywateli, o ich ilość i jakość jest najważniejszym elementem pojęcia idei państwowej".

Jakość i ilość obywateli winna być głównym przedmiotem trosk kierowników państwa, którzy jak widać z projektu ustawy o organizacji Publicznej Służby Zdrowia z 1946 r., weszli już na właściwą drogę polityki populacyjnej. Czytamy tam: „Zdrowie i przyrost naturalny stanowi podstawowy czynnik potęgi państwa..." i dalej: „podstawowym zadaniem Publicznej Służby Zdrowia jest **zapobieganie** w utracie zdrowia i zapewnienie w razie choroby pomocy leczniczej". Widać stąd jasno, że ustawodawca postawił na pierwszym miejscu zapobieganie, a na drugim dopiero — leczenie chorych. Słuszność tego rodzaju postępowania nie wymaga już bliższych wyjaśnień, zmusza jedynie do zastanowienia się, jakimi drogami dążyć będzie Ministerstwo Zdrowia do zrealizowania tego planu.

Już w 1929 r. upominał się doktór T. Janiszewski o stworzenie przedmałżeńskich poradni eugenicznych. Uważa on, że eugenika jest niejako ukoronowaniem wszelkich wysiłków higienicznych, w niej najjaskrawiej uwidacznia się zapobiegawczy charakter wszystkich działań higieny. Zadaniem jej jest zahamowanie procesu rodzenia się mniej wartościowych fizycznie i psychicznie ludzi i intensyfikowanie rozrodu ludzi krzepkich i pełnowartościowych.

W nowoczesnych społeczeństwach istnieją już poradnie przedślubne i spełniają swe trudne i niewdzięczne, ze względu na brak natychmiastowego efektu — zadanie.

Z punktu widzenia polityki zdrowia, należy postawić na pierwszym miejscu dbałość o utrzymanie należytego stanu zdrowia a więc **działalność profilaktyczną.** Leczenie chorych ważne jest o tyle, o ile opłaca się ono z przyczyn ekonomiczno-społecznych. Wprawdzie chorzy będący ciężarem społeczeństwa nie mogą być ze względów humanitarnych przede wszystkim, a oszczędnościowych w drugim rzędzie — nie leczeni, to jednak higienę rozrodu uważać należy za podstawowy czynnik pomyślnego rozwoju narodu.

Zapaleni zwolennicy zapobiegania chorobom i wprowadzenia zasad eugeniki popadają niejednokrotnie w skrajność, kiedy twierdzą, że rozwój np. pediatrii spowodował spadek śmiertelności niemowląt, utrzymując przy życiu na razie niewielki procent dzieci chuderlawych, które by w innych warunkach zmarły, a które dorastając dają początek nowym pokoleniom fizycznie niedorozwiniętym. Ten pogląd każe wysnuwać wręcz paradoksalne wnioski. Wynikałoby, że trzeba zatrzymać szybki rozwój medycyny w celu umożliwienia samoistnej selekcji dokonywanej przez choroby.

W Sparcie selekcjonowano sztucznie, usuwając ze społeczeństwa jednostki chore. Selekcja ta miała bardzo brutalny charakter.

Nieco mniej brutalnie postępowano w Niemczech. Ustawa wydana 14.7.1933 r. mówi, że „chory, po stwierdzeniu przez naukowe siły lekarskie, iż potomstwo jego mogłoby być obciążone ciężkimi chorobami na ciele lub umyśle, zostaje poddany zabiegowi ubezpłodnienia". Następna ustawa idzie dalej i zezwala na przerwanie ciąży w wypadku stwierdzenia choroby dziedzicznej.

Polityka populacyjna opierać się będzie w przyszłości na ograniczeniu wolności, na przymusie. Przy pomocy tylko takich sposobów oczekiwać będzie można pożądanych rezultatów. Żądanie to szczególnie w Polsce będzie trudne do przeprowadzenia, gdyż jesteśmy specjalnie niechętni wszelkiego rodzaju uszczupleniom naszej samodzielności i swobody. Już w 1772 r. zauważył obcokrajowiec dr Tr. De Luz, że: „Polacy, niewolnicy bez rozumnej wolności — nawet przez wzgląd na własne zdrowie, nie chcieli jej zmieniać".

W konkluzji dochodzimy do wniosku, że z punktu widzenia społecznego, polityka zdrowia powinna uwzględniać przede wszystkim higienę rozrodu, zapobiegania chorobom i leczenie chorych, którzy, wracając do zdrowia — przestają być ciężarem społeczeństwa.

Jakie są warunki i możliwości powodzenia tego rodzaju polityki zdrowia?

a) Pierwszym zadaniem jest kształcenie fachowców. Zadanie niezwykle trudne w naszej sytuacji ze względu na brak znawców eugeniki i higieny. Na uniwersytetach lekceważy się jak dotąd te przedmioty. Na poszczególnych wydziałach lekarskich brak sprzyjającej rozwojowi tej nauki — atmosfery.

Spotykamy się z projektami (patrz artykuł dr M. Kacprzaka — „Wieś" nr 44) wysyłania na wieś młodych lekarzy wyuczonych swej sztuki w nowocześnie prowadzonych klinikach, „wyposażając" ich na nowe placówki w dziesięć palców i słuchawkę lekarską, stawiając przed nimi odpowiedzialne zadanie rozpoznawania jakże często niejasnych i skomplikowanych objaw chorobowych. Nowoczesny lekarz nie jest przystosowany do pracy w warunkach wiejskich, musi on mieć do pomocy aparat Rentgena, lampy, diatermię, laboratorium analityczne i cały szereg urządzeń diagnostycznych i leczniczych. Nowoczesny lekarz przygotowany jest i nastawiony tylko na takie rozpoznawanie chorób, które odbywa przy pomocy zwykle niezawodnych aparatów. Nie może więc dać sobie rady stosując starą metodę badania fizykalnego, sposobu — w związku z rozwojem techniki już zarzuconego. Nie może i nie chce wrócić do dawnych, złudnych sposobów rozpoznawania a tym bardziej leczenia.

Nie wymagajmy wobec tego od młodych lekarzy, niedoświadczonych przecież, aby osiedlali się na wsi, aby nie będąc praktycznie do tego przygotowani, prowadzili Ośrodki Zdrowia. Nowe zdobycze medycyny komplikują sprawy rozpoznania i leczenia tak dalece, że wychodzący z uniwersytetu lekarz rzadko jest zdolny odrazu do pracy samodzielnej. Zmuszenie go do takiej pracy może spowodować w rezultacie rozwój partactwa, a więc obniżenie społecznego stanu zdrowia i zdewaluowanie wartości nauki.

b) Produkuje się obecnie dużą ilość lekarzy (za pięć lat będziemy ich mieli o osiem tysięcy więcej) i przeznacza się ich do pracy na wsi — w Ośrodkach Zdrowia, które mają być podstawowym elementem Publicznej Służby Zdrowia

Zewsząd słychać biadania nad wyniszczeniem polskich lekarzy w czasie wojny. Jednak w stosunku do innych obywateli, wszyscy lekarze byli w czasie wojny otoczeni opieką i jeżeli okupant „brał się" do nich — to zawsze na samym końcu. Podaje się autentyczne cyfry, ale jakże błędnie się je komentuje! Dowiadujemy się z artykułu dra Kacprzaka („Wieś" Nr. 44), że ilość lekarzy w Polsce wynosiła w 1939 r. — 13.000 Istotnie, rocznik statystyczny podaje liczbę zbliżoną do 13 tysięcy. Obecnie mamy blisko 7 tys. lekarzy (w 1945 r. było zarejestrowanych 5.958.) Czytelnik jest oczywiście zdumiony tak wielkim ubytkiem lekarzy i skłonny jest poprzeć każde działanie, mające na celu zwiększenie produkcji, bo tak to należy nazwać — lekarzy. Cyfry prawdziwe źle zinterpretowane ileż zamieszania mogą wprowadzić! Uzupełnijmy więc te obliczenia. Do liczby 7 tys. musimy dodać około 2 tys. lekarzy, odbywających służbę w wojsku. Będziemy wtedy mieli 9 tys. lekarzy, ale nie na 35 mil. mieszkańców lecz na 24 mil.

Ilość lekarzy przypadająca na 10 tys. mieszkańców wynosiła w Polsce, w 1939 r. — 3.2. Obecnie wynosi 2,8 na każde 10 tys. mieszkańców. Nie ma więc powodu do rozpaczy, zwłaszcza że ilość lekarzy w wielu okręgach nawet się zwiększyła. Np. w powiecie miechowskim liczba lekarzy wzrosła dwukrotnie od 1939 r.. Dobra i urodzajna ziemia miechowska może sobie pozwolić na luksus utrzymania aż 35 lekarzy.

Martwią się jeszcze inni o lekarzy Ziem Odzyskanych , stanowiących 1/3 Polski. Brak lekarzy na Ziemiach Odzyskanych jest istotnie rażący, ale też trzeba sobie uświadomić, że mieszkańcy tamtych ziem to młodzi i zdrowi pionierzy, potrzebujący opieki lekarskiej przede wszystkim w nagłych wypadkach. Łagodzi to znacznie naszą troskę o lekarzy na Ziemiach Zachodnich.

Nie pragnę bynajmniej przekonywać, że liczba lekarzy jest w Polsce wystarczająca i że bicie na alarm z powodu ich braku jest przesadzoną troską o upowszechnienie zdrowia. Myślę jednak że do tej kwestii należy podejść i od strony społeczeństwa dającego istotne zapotrzebowanie na lekarzy. Ponieważ stwierdzono, że w krajach o wysokiej kulturze liczba personelu medycznego jest o wiele wyższa niż w Polsce, wyciągnięto wniosek, że sprawa kultury zdrowia jest funkcją ogólnego stanu społeczno-kulturalnego, a nie jakimś osobnym, oderwanym od innych zagadnieniem.

Wydaje się, że przeprowadzone ostatnio reformy społeczno-gospodarcze, zmierzające do podniesienia standartu życiowego każdego obywatela, wciągną go w ramach nowego ustroju na wyższy stopień najszerzej pojętej kultury, podniosą więc zatym społeczne zapotrzebowanie na lekarzy.

Przypatrzmy się jak to jest zagranicą. W porównaniu z innymi państwami europejskimi, (ZSRR posiada 5-ciu lekarzy na 10 tys. mieszkańców, państwa zachodniej Europy — przeciętnie 8 lekarzy na 10 tys. mieszk.), jesteśmy na szarym końcu ze swymi 2,8 lekarzami, przypadającymi na tę samą liczbę obywateli.Mamy za sobą tylko Jugosławię i Bułgarię.

c) Dziwimy się czemu szerzy się jeszcze w Polsce plaga znachorów, uprawiających swój zawód z większym niejednokrotnie powodzeniem niż lekarze. Przyczyny tego stanu łatwo można się dopatrzeć w złej organizacji lecznictwa i nieodpowiedniej organizacji studiów lekarskich, nie przystosowujących należycie młodych lekarzy do pracy samodzielnej Wysłanie choćby i 100 tys. lekarzy na wieś nie rozwiąże tam problemu zdrowia, ponieważ lekarze ci nie będą mieli warunków do wykorzystania swych narazie teoretycznych wiadomości. Przeciętnie lekarz traktuje leczenia na wsi jako interes dochodowy albo — pole do doświadczeń teoretyczno-naukowych. Jest to wynik przyspasabiania młodych lekarzy nie do praktyczno-społecznej ale naukowej działalności. Tu należy szukać źródła niechęci młodych lekarzy do pracy na wsi, a nie w złych warunkach mieszkaniowych czy braku kulturalnego otoczenia.

Rozwiązanie problemu opieki lekarskiej i sanitarnej na wsi można by widzieć w dwutorowości studiów lekarskich. Kształcono by 1) — lekarzy praktyków, mających doskonale opanowaną technikę badania fizykalnego w chorobach wewnętrznych dzieci i położnictwie 2) — lekarzy specjalistów, do których praktycy kierowaliby swych pacjentów na leczenie.

Taka dwutorowość nauk medycznych istnieje przecież zagranicą i nie przynosi ona szkody.

Powyższa reforma niosłaby za sobą poważne trudności i komplikacje — to też zorganizowanie dziś sieci szpitali powiatowych, zatrudniających lekarzy możliwie wszystkich specjalności, należałoby postawić na czele pierwszych zadań Publicznej Służby Zdrowia. Ośrodki zdrowia — ambulatoria mogłyby być narazie kierowane przez wykwalifikowane pielęgniarki.

Do sprawnego funkcjonowania powyższej organizacji potrzebna jest duża ilość samochodów do transportu chorych, na co obecnie możemy sobie pozwolić.

Uwagi o powszechnej organizacji zdrowia nie mogą rzecz jasna, zmieścić się w ramach jednego artykułu.

Pytanie, czy zdrowie społeczeństwa winno być finansowane przez jednostki aktualnie dotknięte chorobą, czy też finansowane społecznie — nasuwa się jako problem odrębny, wymagający osobnego rozważenia.

Czekamy na reformy pomyślne i owocne. Wydaje się, że postawa świata lekarskiego uległa widocznej przemianie i jest do tych reform dojrzała. Świadczą o tym słowa dra Wrzyszczyńskiego: „...trzeba wyjść poza granice pojęć i zasad gospodarki swoim własnym warsztatem pracy na rzecz warsztatu społecznego..." („Nowiny Lekarskie" 15. I. 46).

Oprócz słów mamy do zanotowania i fakty. W Poznaniu pracuje w społecznych instytucjach Służby Zdrowia już — 98% lekarzy.

*) St. Lewicki zabiera jako drugi głos w dyskusji rozpoczętej przez prof. dr. Marcina Kacprzaka we „Wsi" nr. 44 „Pilna sprawa".

Teodor Goździkiewicz

TRIUMF ZAREMBINY

GDYBY TĘ RZECZ namalował na obrazku albo sfotografował wiernie, toby tak właśnie było, wygląda bowiem na zmyślenie, a jest prawdą. Duży, ładny, nowy dom i niska, stara, mała chałupka. Dom należy do Fedusia, a chałupka do Zarembiny. Oddziela te dwa budynki od siebie miedza: w lecie obrośnięta pokrzywami, a w zimie przez pokrycia śniegu wyglądają smutne badyle podróżnika, którego nasiona wydziobały szczygły.

Domy nie mówią, ale gdyby mogły, toby budynek Fedusia powiedział o sobie:

— Jestem nowy, pobudowano mnie w roku 1920; mam ściany ze rżniętych bali sosnowych ułożonych jeden na drugim, gdzie między nie, dla uszczelnienia nałożono warstewkę papy, dach mam z blachy, duże okna i podwójne, stoję na podmurówce z cegły; podłoga z desek jest rzeczą zwykłą należącą do wyposażenia szanującego się domu; piece i kominy postawiono z kafli, ażeby godnie zamknąć listę moich wspaniałości.

Chałupka Zarembiny powiedziałaby bez zająknienia:

— Pobudowano mnie w roku 1876, jestem więc już stara; dach zzieleniał od mchu, który na mnie wyrósł; moje bale są ociosywane siekierą, między nie nałożono dla uszczelnienia mchu, a na skrzyżowaniach posiadają długie staroświeckie węgły; okna mają drobne szybki, przekrzyżowane cienką ramą; okap słomiany podpierają wysunięte belki; na glinianym tokowisku sklecono z ceglanej surówki kominek do palenia i gotowania; nad nim nawisa zakopcony kaptur, w którym muchy w lecie i w zimie urządzają sobie siedlisko, a muchy nie są oznaką nadmiernego bogactwa.

Kiedy Feduś stanął na schodach od podwórka w niedzielę rano i krzyknął na parobka w głąb budynków:

— Zaprzągać!

...Widziała go Zarembina jak na dłoni oknem ze swojego mieszkania. Buty z cholewami wyczyszczone miał świątecznie, w czarnym ubraniu pod brodą bieli się trójkąt świeżej koszuli, kosmyk mokrych włosów zaczesany nad czołem: całą gębą gospodarz.

W duszy Zarembiny dojrzewa plan, a ręce go wykonują. Sama prawie jest już gotowa, tylko narzucić chustkę. Kończy czesanie Antolki, zaplata jej włosy w dwa mysie ogonki, przystraja różowymi kokardami, zamykają drzwi i wychodzą.

Niedziela na wsi. Po domach i na drodze, w podwórkach i ogrodach rozpanoszyła się cisza. Nawet drzewa stoją zasłuchane w spokój dnia. Liście zwisły próżniaczo, gałęzie nieruchomo tkwią.

Antolka wisi matce przy boku i razem idą wzdłuż domów. Jest na prawdę świątecznie. Przez szyby wyglądają kwitnące pelargonie. Ludzie starzy, którzy nie zamierzają iść do kościoła, siedzą na progach domów i w poczuciu zupełnej swobody kreślą gałązką na piasku „kozie obrazki". Zarembina mija to wszystko bez zwracania specjalnej uwagi — zaprząta ją myśl jedna: zabierze ją też Feduś do kościoła czy nie zabierze? Pojadą bryczką tę długą drogę czy nie pojadą? I będą musiały iść pieszo? Przecież się nie gniewają — myśli pocieszająco — a wczoraj nawet pełła u niego marchew.

Idą prędko — czas nagli. Zdążyć trzeba na czas. Tak jak wszyscy ludzie. Antolka ściska w lewej ręce nagietek owinięty w rulonik czystej chusteczki do nosa, prawą trzyma się małego palca matki, żeby jej było lżej iść i żeby mogła nadążyć jej krokom.

W pewnej chwili cichną, mierzchną, zamykają się w sobie i jakby kurczą. Żeby tam na tej bryczce nie pomyśleli, że one czekają na zabranie. A za nimi już słychać tupanie końskich kopyt po ciepłej i suchej ziemi i stuka radośnie bryczka: koła wypukują drażniący trajkot, prawdziwą grę dalekiej drogi.

Więc?... Ciekawe. Matka z córką zamarły w oczekiwaniu.

Za plecami rozlega się krótkie, ale jakby dyskretne cięcie batem — dwa razy. Trucht koni robi się żwawszy Zarembina dobrze wie, co to znaczy... Feduś podcina konie, żeby prędzej szły i żeby je prędzej minęły... Tak — tak, to stara historia!

Widzą kątem lewego oka. Wszystko. Wynurzają się najpierw głowy koni, którym u oczu dyndają różowe pędzelki z włóczki zawieszone na rzemykach. Potem szyje obramione w czarne chomąta i całe w grzywach, za nimi brzuchy opięte w szerokie pasy uprzęży, dalej ruchliwe zady, na których drgają ogony zawiązane w przemyślny węzeł.

Potem ludzie. O, widzą wszystko dokładnie, choć nie patrzą. Feduś siedzi na koźle z parobkiem który powozi. Na ruchomym siedzonku tyłem do kierunku jazdy pomieściły się dwie córeczki Fedusia, Irka i Zenka, rówieśniczki Antolki Zarembiny. Na tyle uroczyście pomieściła się Fedusiowa z własną matką.

W oczach niepatrzących Zarembiny i córki przesuwa się całe zjawisko — choć minęło ono już dawno — cal po calu. Tak wolno jakoś i nieporadnie, że mają czas zauważyć wielkie motyle z błękitnych wstążek na głowach córek, rówieśniczek Antolki i bliźniaczek, czarną suknię starej matki, na której złożyła pobożnie ręce uzbrojone w opleciona dokoła palców koronkę i w grubą książkę do nabożeństwa. A Fedusiowa ma taką torbę jak panie z miasta..

Widzą, że na tej bryce wszyscy patrzą uparcie wprost przed siebie, jakby tam coś było do zobaczenia tak pilnego, czego żadną miarą przeoczyć nie można.

Idącym kobietom został teraz do oglądania żółty tył bryczki z wąską poręczą wpinającą się w plecy Fedusiowej i jej matki. Konie tętnią już ciszej, pojazd trajkocze słabiej, spod kół wywijają się dwa pasemka nikłego pyłu.

Przejechali.

Przejechali na prawdę.

Zarembina spogląda z góry na swoją córkę Antolkę, widzi w jej rączce zwisającą główkę pomarańczowego kwiatka, a potem oczy przenosi na drogę przed sobą. Ech, przecież sama nie idzie — pociesza się: idą ludzie przed nią, idą za nią. Jednak ścieżka, po której stąpają, wydłuża się w nieskończoność, zwęża do linijki jak we śnie. A na tej drodze rozstawione są jakieś zdarzenia, które mija jak stacje Męki Pańskiej. Wykreśliła się myślą z koliska zdarzeń bliskich, realnych, a uciekła do rzeczy dawnych, które mają jej coś powiedzieć, w czymś coś wyjaśnić.

Jak to dziwnie jest koło niej. Świat podzielił się na nierówne zjawiska i podsuwa obraz na obrazem. Tak przecież jest wszędzie: koło Witkowskiego jest Magryś, koło Dziepuli — Pierzchała, koło Zarobka — Gołębiowski, a koło Fedusia — ona Zarembina...

Matka jej, kiedy żyła, zawsze opowiadała ciekawe rzeczy: — Pamiętaj, Małgosiu... — od tego ciągle zaczynała. Pamiętaj i pamiętaj, tak jakby od tego pamietania wszystko zależało. A chodziło tam o proste sprawy. Matka matki Zerembiny czyli jej babka była też z Fedusiów. Ależ cóż: syn był posłuszny, ożenił się bogato, został na gospodarce, córka zaś uparła się i wyszła za gołego chłopaka bez ziemi, który tylko umiał ładnie gwizdać i tańcować. Wydziedziczonej pozwolono zaledwie na ojcowiźnie postawić domek. Od tego czasu zaczęła się długa dola wyrobku, pogardy i upokorzeń.

Ale matka uparcie powtarzała swoje:

— Pamiętaj, Małgosiu, my z bogatej rodziny pochodzimy...

W czasie wojny w roku 1914 na wiosnę wyszła za Zarembę. Niby to się starał na kolej, niby to chciał wyjść ze wsi, ale w rezultacie zabrali go do wojska i w roku 1915 zginął pod Królewcem. Jest teraz wdową i nie wyszła drugi raz za mąż, ale może wyjdzie, jeśli się kto chętny trafi. Chociaż na wyrobnicę z dzieckiem to tam tak bardzo chłopy nie lecą...

Droga się kończy, obrazy z przeszłości nikną, koło nich roi się od ludzi. I oto kościół. W bramie żegnają się święconą wodą, z powodu gorąca do środka nie wchodzą, tylko klękają z boku na trawie przy dzwonnicy i zaczynają się modlić. Przyszły w sam czas. Zaraz będzie procesja. Kościelny już rozdaje świece, a braccy zapalają je ostrożnie, chroniąc zgiętymi dłońmi od wiatru i ustawiają się w dwa rzędy, które obejmą księdza z monstrancją, kiedy wyjdzie z kościoła.

Z mrocznego środka świątyni ponad głowami ludzi ściżbionych w drzwiach wejściowych dolatuje ostry śpiew, a tu na cmentarzu w konarach stuletnich wiązów drą się wróble, tam dalej pogwizduje szpak i od strony plebanii dolatuje pohukiwanie grzywacza. Widocznie ptactwo nic sobie nie robi z nabożeństwa ludzi, tylko odprawia swoje uroczystości.

Nareszcie procesja. Wylewają się tłumy ze środka, brzmi śpiew, idą długimi rzędami braccy, potem niosą chorągwie wysoko na kijach, a potem...

Białą poduszkę z czerwonym sercem niesie organiścianka, ale dwie przednie szarfy — wyciągnięte, szerokie, okazałe — niosą obie Fedusiówny. Są ubrane na biało, a przecież miały inne sukienki. Widocznie zdążyły się przebrać, aby nie zgnieść okrycia na bryce. I to akurat od dzisiaj, jak je to tatulo wkręcił!...

A oto on sam: trzyma proboszcza pod rękę z jednej strony, a z drugiej administrator z majątku. Ho — ho! Zarembina czuje napływ gryzącej goryczy, jaki osiedlił się pod jej sercem. Aż trudno oddychać. Aż trudno mówić. A mówić trzeba, bo Antolka wyciąga szyję, pochyla głowę matce od ucha i szepcze:

— Widziała mamusia?

— Mów pacierz, mów! — przykazuje jej dobrotliwie jak trzeba .

Sama jednak myśli niezależnie od wszelkich wewnętrznych nakazów. Jak się to dzieje: tam w podwórku we wsi Feduś ma czternaście krów i trzy konie, a ona tylko jedną kozę, Feduś mieszka w nowym, przed trzema laty postawionym domu, a ona w czterdziestoletniej chałupce, Feduś obsiewa trzydzieści sześć morgów pola, a ona tylko ten ogródek wokoło domu — ale nie jest to tak przykre, tak palące, jak to, kiedy tu widzi tamte bogaczki wyniesione, wywyższone, na oczach wszystkich ludzi z całej parafii, a jej córka tylko szepcze na ucho:

— „Widzi mama"?

*

Od roku blisko Antolka chodzi do szkoły. Matka do śniadania czesze jej głowę, a po jedzeniu zawiesza córce przez ramię płócienną torbę z książkami i Antolka idzie razem z innymi dziećmi. Nie narzeka sobie Zarembina, choć do południa nie ma kto kozy paść. Zdolność filozoficznego patrzenia na świat w jej obrębie segregowania zjawisk podszeptuje kobiecie w rzadkich chwilach zwątpień, że tak musi być, kiedy jest, bo co by robiła na przykład, gdyby była sama? Gdyby nie miała córki w ogóle?

Bah! — nie darła się tak przecież na początku, kiedy Antolce trzeba było stawić się w miejscowej akademii powszechnej. Nie: żeby ludzie nie wskazywali na nią palcem i nie mówili — wyrobnica, a jak się to z dzeckiem do szkoły pcha! Słowem nie sięgała tam ręka, gdzie nie upoważniały ją warunki życiowe. A tymi warunkami była ziemia. Tolka kończyła siedem lat w grudniu, więc we wrześniu według interpretacji matki nie tak bardzo należało jej się iść. Czekała całe trzy dni. Ale młoda nauczycielka była osobą energiczną. Wiedziała, jak działać. Czwartego dnia o południu opiekun szkolny zapukał w okno:

— Zarembina!

— No, co tam?

— Jutro dziecko do szkoły. Pani mówiła.

— A jak nie pódzie?

— To kara.

— Eee tam, kara! Zaro kara! Przecie jo matka!

— Tero nie takie czasy: matka nie matka...

— Eee, jo tam nie chodziłam i żyje! Ta downi...

— Downi nie downi, a dziecko jutro do szkoły...

— A jak nie pódzie?

— To kara!...

Głos opiekuna jest surowy ale spokojny. Spokojny, bo wie, ze słuszność jest po jego stronie, a surowy — bo przedstawia sobą prawo.

Wysłannik poszedł dalej, a ona jeszcze dziś jak się nie rzuci do roboty! Trzeba było zbadać dziesiątki szczegółów około kiecczątka, głowy, butów i pończoch, więc ulegając przesadzie ludzi, którzy niespodzianie awansowali w wymarzonym przez nich kierunku, drugiego dnia wysłała córkę ubraną tak odświętnie jak na odpust. Przecież teraz nikt nie powie, że się sama pchała tam, gdzie jej się nie należy — sami po nią przysyłali!

Dni idą jeden po drugim: w ramach tygodnia, w ramach miesiąca. Rano od ósmej do dwunastej Antolka siedzi w szkole, a po obiedzie pasie kozę. Wielkie zjawisko nauki nie przeszkadza uprawiać tak przyjemnego zajęcia, jak dbałość o stan koziego żołądka. Stąd Antolka obnosi swoją perkalową sukienkę z codnia po miedzach, rowach i przydróżkach.

Zarembina nieraz w przypływie srogości, ulegając nakazowi dobrej matki bierze Antolkę przed siebie, każe jej patrzeć sobie w oczy i pyta:

— Ty, słuchaj: uczysz się?

Antolka trzepie powiekami z wrażenia i na znak poczucia ważności chwili mówi z pozorami niechęci:

— Uczę się...

— No, pamiętaj: ucz się, bo jo nimogłam. Tacy jak my się nie mogli uczyć...

— Czemu?

— Bośmy nie mieli ziemi...

Ile razy Zarembina o tym mówiła, tyle razy opanowywało ją uczucie krzywdy, więc otrząsając z siebie napływ bezrozumnego wzruszenia powróciła do głównego nurtu swoich badań:

— A nie bije cie pani?

— Nie, pani nikogo nie bije... — oświadczyła z przejęciem, a potem jakby chcąc urealnić wybielony obraz swojej przełożonej dodała — ino czasem krzyczy...

A na to matka:

— No, muszę jo się zapytać nauczycielki, czy to na prowde...

— To się pytajcie...

Słowa młodej adeptki szkolnej są pewne i lekko chmurne, więc matka daje jej w rękę pół okrągłego jak dysk placka z żytniej mąki i wypycha za kozą.

— Paś do wieczora — upomina — a ino szkody nie zrób!

Jednego razu z początku nauki korzystając z nieobecności córki poddała Zarembina gruntownemu przeglądowi szkolną torbę swojej uczenicy. Ale zawartość znalazła bardzo chudą. Był tam tylko zeszyt i ołówek. Odwinęła łakomie jedną kartkę, drugą. I patrzyła. Stronice były dość brudne, na nich stały tam jakieś kreski, kółka, laseczki, w jednym miejscu było coś jak kogut, w drugim jak stonoga. Nic nie rozumiała. Liter tam nie było, przecie je znała: były foremniejsze.

— Jak też to teraz uczą!... — westchnęła z politowaniem — ani książki, ani linijki, ani rysika...

Wieczorem nasiadła córkę:

— Antolka, książki ci nie trzeba?

— Nie.

— Jak to nie, a na czym wy się uczyta?

— Pani bajki opowiada, a potem je rysujemy...

Zdziwienie Zarembiny pogłębiło się jeszcze bardziej, kiedy się przekonała i na swoim dziecku, że ludzie prawdę mówili o nauczycielce, bo to z początku zamiast czytania bawiła się tylko z dziećmi. Ulegając przekonaniu, że jako niewykształconej nie wypada jej rzucać na nikogo kamieniem potępienia Zarembina zostawiła przedstawicielkę racjonalnego patrzenia na świat w spokoju.

Tylko nieraz rano, kiedy wyglądała za Antolką i widziała ją, jak się wmieszała po równo ze wszystkimi dziećmi w długi rząd zmierzających do szkoły pierś jej się podnosiła uczuciem dumy: jej dziecko, bezrolnej wyrobnicy, idzie razem ze wszystkimi tak, tak jak idą średniacy z „bogolami".

Skończył się październik, w listopadzie drzewa ogołociły się zupełnie i Zarembina swoją kozę zamknęła w szopie. Potem spadły przymrozki i w wolne popołudnia Antolka dukwiła nad książką. To tylko miała do roboty. W śniegach nadszedł grudzień i zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Tego dnia Antolka przyszła ze szkoły i od razu z progu mówi do matki:

— Mamo, musicie przyjść do szkoły jutro Będzie zebranie.

Zarembina od kółka z lnem podniosła na nią oczy, więc córka widząc jej zainteresowanie dodała jakby od niechcenia:

— A ja będę mówiła wierszyk... Ze Staśkiem Budziakiem...

Nie — ta Antolka sfiksowała doprawdy. Matka ma z nią od niejakiego czasu prawdziwy kłopot. Trudno jest Zarembinie za nią nadążyć. Nie powie jej nic wprost, tylko jeśli coś jej trzeba, kołuje nad tą sprawą bardzo dużym ogródkiem.

Kiedyś - kiedyś nie powiedziała matce wprost, że jej potrzebna jest książka — nie. Tylko uwiesiła się jej u ręki i mówi:

— Mamusiu, wiesz co, a to mi się śniło, że miałam taką ładną książkę. Były w niej takie różne zwierzęta, a pod nimi stały wierszyki napisane... Tak czytałam! Tak czytałam!

Albo ile to razy mówiła do niej w ten sposób:

— Mamusiu, znalazłam na drodze ołówek, taki był zielony, o tyle dłuższy od mojego. Ale mi zginął znowu...

Więc matka tylko się przekonywa, że córce potrzebny jest nowy ołówek. To tkwienie Antolki w innym świecie, do którego nie zawsze dopuszczała matkę, spowodowało, że Zarembina wszystkie jej słowa traktuje podejrzliwie i stąd owa wiadomość o wierszyku mówionym ze Staśkiem Budziakiem nie wydała jej się prosta, ale co by się za tym kryło, nie mogła jeszcze przewidzieć.

Na drugi dzień ogarnęła się Zarembina na pół świąteczne i poszła do szkoły. Przy budynku biegała hurma dzieci, a w izbie szkolnej ugniatali się rodzice. Były same prawie matki, rzadziej jakiś ojciec, widocznie kobiety traktowały to, jako okazję do wyjścia z domu. Chłopy to tam przecież wiadomo częściej mieli okoliczność wyjść na szerszy świat. W rumocie cisnących się dzieci weszła nauczycielka i po uciszeniu się rozgwaru zaczęła odczytywać bardzo długo oceny postępów dzieci w nauce.

Kiedy Zarembina usłyszała imię i nazwisko swojego dziecka, uczuła mdłość w sobie. Jakby ją ktoś za gardło chwycił. Krew niewstrzymaną falą rzuciła się jej do twarzy i odpłynęła szybko w dół. Nie słyszała przecież swojego nazwiska wymówionego publicznie, jak w ten czas, kiedy odbywały się jej zapowiedzi ślubne.

Przez uciekający szum w uszach posłyszała:

— Antonina Zarembianka, uczennica pierwszego oddziału, córka Małgorzaty i Jana, urodzona dnia 12 grudnia 1914 roku w Świnicach: sprawowanie — bardzo dobry, religia — bardzo dobry, język polski — bardzo dobry, arytmetyka... — brzmi nieco ścieplony głos nauczycielki zmęczony tylokrotnym wyczytywaniem.

Dalej Zarembina nic nie słyszy i nic nie rozumie. Objął ją całą płomień radości i przeniknął do rdzenia. Jej dziecko na oczach tylu ludzi... I tyle pochwał! Język jej skołczał, głowę ma całą w ogniu i w oczach jakby mgłę. Ludzkie postacie a nawet szczupła figura nauczycielki czarno ubranej zatarły się zupełnie, a potem rozpłynęły w nicość. Coś się koło niej dzieje w dalszym ciągu, zachodzą jakieś zmiany i zdarzenia, ale już nic z tego nie łapie. Siedzi tu, a jakby była nieobecna, słucha a nie słyszy. Dzieje się z nią coś dziwnego: w uszy jakby jej ktoś natkał waty, a do oczu nasypał piasku... Cóż ją przecież może jeszcze obchodzić? Co jeszcze?

W tym wielkim nieopanowanym chaosie zdarzeń wewnętrznych,myśli i czucia dolatuje ją spokojny, ale donośny i tą samą radosną rutką podbity głos nauczycielki:

— A teraz na zakończenie uroczystości nasza najlepsza uczennica Antosia Zarembianka i Stasiek Budziak powiedzą wspólnie wierszyk.

Otwiera Zarembina oczy, przeciera mgłę i widzi, że na małą scenkę z desek ubraną lnianymi prześcieradłami i kilkoma chorągiewkami biało-czerwonymi wchodzi Antolka, a za nią — chłopiec. Są drobni, niepozorni, pocieszni. Nieporadnie frontują się do siebie twarzami, pozorując spokój martwymi uśmiechami przylepionymi do warg, czekają na znak.

Wreszcie Antolka zaczyna cienkim, sztucznym dyszkancikiem:

— Kto ty jesteś?

A Stasiek głosem, jakby miał utonąć, porywczo odpowiada:

— Polak mały...

Znowu Antolka chrypi wyuczone:

— Jaki znak twój?

A Stasiek Budziak odzipuje:

— Orzeł Biały...

Dalej Antolka wyrębuje sucho:

— Gdzie ty mieszkasz?

A Stasiu w te pędy, jakby się bał, że nie zdąży:

— Między swemi...

Antolka (szybko):

— W jakim kraju?

Stasiek (zawsze porywczo):

— W polskiej ziemi...

Antolka:

— Czym ta ziemia?

Stasiek:

— Mą ojczyzną...

Porywa Zarembinę płacz. Wewnętrzny płacz radości. Byłaby się rozbeczała głośno, gdyby nie było jej wstyd tak wielkiej gromady ludzi, więc tylko ściągnęła chustkę bardziej na oczy, ogarnęła boki, żeby nikt nie zauważył łez i pochyliła głowę. Ma, ma za swoje, za wszystko! To jej dziecko tam na scenie mówi tak pięknie, a tyle ludzi słucha!.. Jej, a niczyje inne. Widzą ją wszyscy, Antolkę, nawet Fedusiówny, nawet Fedusiowa, która usiadła tam przy brzegu, niedaleko desek sceny. I cóż ona, Fedusiowa po prawdzie znaczy, co znaczą jej trzydzieści cztery morgi, jak jej Antolka tu, przy tylu ludziach... A Fedusiówny, Irka i Zenka? Stoją tam na boku izby przy ścianie i gapią się z otwartymi ustami, jak jej córka deklamuje...

Jej, wyrobnicy córka przed wszystkimi — Antolka Zarembianka.

GŁOSY O SZKOLNICTWIE

STANISŁAW KULCZYŃSKI

Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego

Tegoroczne wpisy na wyższe uczelnie odbywały się pod hasłem zmiany składu społecznego młodzieży studiującej. Wprowadzone nowe przepisy wpisowe poprawiły nieco isniejący stan rzeczy na tym odcinku. O ile jednak sądzić można z prowizorycznych jeszcze cyfr, rezultaty osiągnięte nie odpowiadają oczekiwaniom. Okazało się, że trudności są duże i nie tkwią tam, gdzie ich oczekiwano. Rozwiały się przy tym pewne złudzenia. Rozwiał się przede wszystkim mit, jakoby wyższe uczelnie odmawiały wstępu szerokim rzeszom młodzieży garnącej się do studiów wyższych. Olbrzymia bowiem większość młodzieży napływającej znalazła pomieszczenie w szkołach akademickich. Ta, która odpadła, odpadła wyłącznie na skutek istotnego braku kwalifikacji. Stosunek liczbowy młodzieży napływającej do szkół wyższych do młodzieży przyjętej na studia wyższe nie budzi niepokoju, nie wykazuje bowiem żadnej jaskrawej dysproporcji. Wyraźny niestosunek między ilością zgłaszających się i ilością przyjętych występuje jedynie na niektórych wydziałach, tak zwanych **chlebowych**, jak lekarski, farmaceutyczny, stomatologiczny i niektóre wydziały techniczne. Nie przyjęta na te wydziały młodzież znalazła pomieszczenie na innych wydziałach, które — jak np. humanistyczny — nie wyczerpały w zupełności granicy określającej ich pojemność. Z punktu widzenia społecznego i z punktu widzenia planowej produkcji inteligencji nie jest rzeczą szkodliwą, że ograniczona pojemność wydziałów lekarskich i jemu podobnych zmusza młodzież do obierania innych zawodów. Stosunkowo wielki pęd na wydziały lekarskiej, zaznaczający się od kilku lat na naszych uczelniach, ma swoje źródło przeważnie nie w zamiłowaniu do tego trudnego i społecznie ważnego zawodu, ale w motywach materialnych, których popierać ze szkodą dla innych równie ważnych zawodów nie ma powodu.

Niedostateczny w ogólnym bilansie napływ młodzieży chłopskiej i robotniczej do szkół wyższych ma swoją przyczynę nie w ciasnocie uczelni akademickich i w zamykaniu do nich dostępu podstawowym warstwom społecznym. Przyczyny tkwią głębiej, na szczeblu **szkoły średniej** niedostatecznie jeszcze zasilanej przez chłopską i robotniczą młodzież, albo jeszcze głębiej w **trudnościach ekonomicznych** ubogiego chłopa i robotnika nie pozwalających na finansowanie kształcenia dzieci, albo — *czego również nie można pomijać* — w małej atrakcyjności wykształcenia wyższego w oczach dobrze sytuowanych rodzin, których zawody (sklepiki, warsztaty, wielo-morgowe gospodarstwa) obiecują młodzieży dziedziczenie produkcyjnej własności.

Pomnażanie kadr inteligencji i zasilanie warstwy inteligeckiej świeżym dopływem z warstw podstawowych jest postulatem chwili o zasadniczym znaczeniu. Trzeba jednak czynnik społeczny powołany do rekonstruowania nowych kadr inteligeckich z chłopsko-robotniczej warstwy ustawić w dwóch punktach. Kazać mu działać nie tylko u bram szkół akademickich, gdzie na wielu wydziałach nie ma kogo rekrutować, ale przede wszystkim na szczeblu niższym, gdzie zachęta i pomoc społeczna może istotnie wypchnąć na drogę studiów poważne ilości dzieci chłopskich i robotniczych.

Należałoby rozważyć, czy dla zadań tych nie słusznym byłoby powołanie specjalnej społecznej organizacji. Mam na myśli Stowarzyszenie Przyjaciół Szkół Akademickich,*) do których wciągnąć należałoby szerokie koła świata pracy. Regionalne koła takich stowarzyszeń mogłyby daleko skuteczniej — każde na swoim odcinku — dobierać, opiniować i zachęcać do studiów wyższych młodzież znaną sobie z bezpośredniego kontaktu. Na koła te możnaby jednocześnie przerzucić część obowiązku materialnej pomocy studiującej młodzieży. Mobilizaja środków materialnych na studia byłaby łatwiejsza i wydatniejsza, gdyby koła regionalne świadczyły ją na rzecz swoich własnych, przez siebie wyszukanych na drogę studiów pupilów, niż gdy zdobywanie środków od społeczeństwa odbywa się na rzecz anonimowych akademików.

---

*) Redakcja z projektem p. Rektora Kulczyńskiego nie solidaryzuje się. Uważamy bowiem, że proces masowego wprowadzania na Uniwersytety młodzieży chłopsko-robotniczej powstał w wyniku dokonanych przemian ustrojowych w Polsce. Źródłem tego procesu są siły polityczne mas ludowych i w ich orbicie działające instytucje oświatowe, społeczne i gospodarcze. Nie ma powodów do tworzenia nowej organizacji społecznej (o rozgałęzionej sieci), która i tak w praktyce składała by się z reprezentantów tych sił społeczno-polityczych, jakie realizują ustrój Polski Ludowej; jej novum polegałoby jedynie na zatarciu klasowo - politycznej odpowiedzialności za rekrutację młodzieży do wyższych uczelni. „Czynnik społeczny" oznaczałby tu powrót do filantropijnej opieki i poszukiwanie kandydatów właśnie jak mówi Rektor — „pupilów". W wypadku zastąpienia przez Tow. Przyjaciół Szkół Akademickich organizacyjnych czynników politycznych i z nimi związanych terenowych czynników działania kulturalno - gospodarczego — nastąpiłoby całkowite zagubienie związku pomiędzy klasowym awansem młodzieży chłopskiej i robotniczej a niepolityczną, filantropijną organizacją rekrutacji „pupilów".

Co akcentujemy, to konieczność wysiłku politycznych organizacji (w ich zasięgu społeczno - gospodarczym), **rozłożonego na cały rok.**

To jest okres rekrutacji najmniejszy. W tym czasie trzeba typować i sprawdzać kwalifikacje intelektualne i społeczne, oraz warunki socjalno-materialne kandydatów. Dopóki (jak statystyka wykazuje) z roku na rok możemy podnosić tylko w procentowych dawkach ilość młodzieży chłopsko-robotniczej na Uniwersytetach (1946-47 — 11 proc., 1947-8— 30 proc.), dopóty tym usilniej musimy dbać, aby na Uniwersytety szła młodzież („reprezentująca" lud) — najzdolniejsza, najbardziej uspołeczniona i najbiedniejsza.

P. S. Otwieramy w tej sprawie dyskusję, prosząc o wypowiedzi, przedstawiające konkretne przykłady metod rekrutacji na przestrzeni gminy, powiatu, województwa, oraz podające projekty rozwiązania w terenie zagadnienia rekrutacji.

Redakcja.

EUGENIA KRASSOWSKA

Viceminister Oświaty

Sprawa warunków pracy młodzieży akademickiej i jej sytuacja materialna budzi powszechne, zrozumiałe zainteresowanie. Niewątpliwie młodzież wciąż jeszcze pracuje w warunkach bardzo ciężkich. niewątpliwie rząd i całe społeczeństwo muszą zdobyć się na jeszcze większy wysiłek dla poprawienia warunków bytu młodzieży studiującej. Każdy zresztą obiektywny obserwator wysiłki te bez trudu może zauważyć. Jasną jest rzeczą, że rozwiązanie tego problemu powiązane jest ściśle z całokształtem problematyki gospodarczej. W miarę stabilizacji warunków gospodarczych, w miarę wzrostu dochodu społecznego ulega i ulegać będzie poprawie sytuacja materialna studenta. Nie można jednak stawiać zagadnienia demagogicznie „młodzieży wszystko się należy od państwa" i domagać się tego rozwiązania tylko na płaszczyźnie dochodów państwowych. Fundusze Ministerstwo Oświaty na pomoc młodzieży nie są wystarczające, pamiętać jednak trzeba, że na pomoc tę składają się fundusze innych resortów, które w sumie sięgają niemal wysokości kwot Ministerstwa Oświaty. Likwidacja kart żywnościowych pozwoliła Ministerstwu Oświaty uzyskać pewne sumy, które mogą być zużyte na pomoc młodzieży **istotnie** tego potrzebującej. Państwo nie może udzielać młodzieży pomocy w postaci kart żywnościowych niezależnie od jej sytuacji materialnej. Jest to sprzeczne z zasadą sprawiedliwego podziału dochodu społecznego, zasadą, o którą toczy dziś walkę cały świat pracy. Usprawnienie systemu podziału stypendiów ścisła kontrola przydziału miejsc w domach akademickich, usprawnienie gospodarki Bratniej Pomocy — oto nowe posunięcia Ministerstwa Oświaty, które pozwolą dysponować w sposób bardziej oszczędny i celowy naszymi skromnymi funduszami.

Sądzę, że w bieżącym roku zwiększy znacznie zasięg swoich wpływów i potrafi zmobilizować poważne fundusze Towarzystwo Pomocy Młodzieży Szkół Wyższych.

Nie rozwiążemy sprawy bytu młodzieży akademickiej bez aktywnego udziału samej młodzieży, bez właściwej jej postawy. Młodzież musi sobie uświadomić, że jej pozytywna twórcza postawa ułatwia państwu rozwiązywanie wszystkich problemów odbudowy i przełamywanie trudności gospodarczych. Młodzież nie może zajmować postawy biernego obserwatora, któremu „wszystko należy się od państwa," musi z całym narodem dźwigać na sobie trud odbudowy i przebudowy kraju. Musi z wielką czujnością gospodarować poważnymi funduszami, na które składa się praca polskiego chłopa i robotnika, a które przechodzą przez jej ręce za pośrednictwem Bratnich Pomocy; musi bezkompromisowo, z całym poczuciem odpowiedzialności oceniać potrzeby kolegów, ustalać hierarchię potrzeb. Tylko harmonijne współdziałanie rządu, społeczeństwa i samej młodzieży pozwoli, przezwyciężając trudności gospodarcze, stworzyć młodzieży niezbedne do normalnych studiów warunki materialne.

JULIAN TREUTLER

Zastępca Sekretarza Generalnego Naczelnej Organizacji Technicznej Rzeczypospolitej Polskiej

Przedłożony przez Sejmową Podkomisję Oświatową projekt ustawy ustala dotychczasowy tytuł naukowy inżyniera jako stopień zawodowy. który będzie mógł zdobyć każdy obywatel pracujący aktywnie w zawodzie technicznym, rolniczym, leśnym i ogrodniczym, w przeciwieństwie do czasów przedwojennych, w których obowiązywała ustawa w przedmiocie naukowego tytułu inżyniera z r. 1922, przeznaczonego wyłącznie dla elitarnych kół spośród absolwentów szkół akademickich. Technik ze **średnim wykształceniem traktowany był przed wojną jako parias, któremu inżynier raczył ledwo 2 palce podawać.** W ustawie z r. 1922 istniał wprawdzie wywalczony przez techników art. 7, który teoretycznie umożliwiał absolwentom średnich szkół technicznych zdobycie tytułu naukowego inżyniera, **ale przez siedemnaście lat istnienia tej ustawy tylko kilkunastu techników zostało dopuszczonych do egzaminu.** Poszczególne Wydziały Szkół akademickich postępowały w tej sprawie dowolnie, według swego „widzimisię", **gdyż przez 17 lat istnienia** ustawy nie ukazało się rozporządzenie wykonawcze, które by regulowało przepisami warunki dopuszczenia i program egzaminu. Zorganizowana klika inżynierów i profesorów Szkół akademickich pilnowała zazdrośnie i z całą bezwzględnością swojego uprzywilejowanego stanu. Do tytułu naukowego inżyniera przywiązane były bowiem uprawnienia, które dawały dobre dochody. Doszło do tego, że w r. 1928 klika ta przeprowadziła ustawę budowlaną ograniczającą prawo budowania w 14 miastach wyłączonych w Polsce tym budowniczym egzaminowanym, którzy mieli średnie techniczne wykształcenie — jest to ustawa kagańcowa przeciwna konstytucji. Istniała w Poznaniu Państwowa Szkoła Ogrodnicza o poziomie wyższym zawodowym postawiona bardzo wysoko, do której przyjmowano kandydatów po 6-ciu klasach gimnazjalnych. Nauka trwała 4 lata.

Po ukończeniu szkoły i przedłożeniu jedno-rocznej praktyki, przysługiwał tytuł ogrodnika dypiomowanego. Studenci tej Szkoły Ogrodniczej mieli indeksy akademickie i zapewnioną I kategorię urzędników w służbie państwowej. Mimo to absolwenci Szkoły nie byli dopuszczeni do egzaminów inżynierskich przewidzianych ustawą z r. 1922 i dla **uzyskania dyplomów inżynierskich musieli wyjeżdżać za granicę.** Te stosunki przedwojenne na Wyższych Uczelniach akademickich częściowo trwają do dnia dzisiejszego. W Krakowie przy Akademii Górniczej zorganizowane zostały już po wojnie Wydziały Politechniczne. Wydział Architektury odrzuca wszystkie prośby techników budowlanych o dopuszczenie do egzaminu z art. 7 ustawy z r. 1922. Znane są wypadki, że budowniczowie z uprawnieniami i dużą praktyką, chcąc zdobyć prawo budowania w 14-tu wyłączonych miastach, zapisują się na studnia na Wydział Architektury, mając ukończony kilkanaście lat temu Wydział Budowlany w Wyższej Szkole Przemysłowej w Krakowie. Muszą oni studiować na nowo od a, b, c. bez zaliczenia wyuczonych już przedmiotów. Dzieje się to wszystko w Państwie Ludowym. Nie są to sporadyczne wypadki stosowane na jednej tylko Uczelni Akademickiej. Dziekan Wydziału Mechanicznego Politechniki Gliwickiej nie dopuścił do egzaminu technika absolwenta Wyższej Szkoły Przemysłowej w Bielsku, kierownika ruchu dużej fabryki włókienniczej, który przedłożył dobrze opracowaną pracę techniczną z zakresu swej specjalności. Petent czekał 8 miesięcy na odmowną odpowiedź. Ten sam dziekan odmówił wydania zezwolenia na używanie stopnia magistra petentowi, który złożył egzamin inżynierski z art 7 ustawy z 1922 r. i otrzymał stopień akademicki inżyniera mechanika. Taki stan niesprawiedliwości społecznej jest wysoce szkodliwy dla Państwa i najwyższy czas, aby z tym stanem skończyć. Przedłożony projekt ustawy o stopniu inżyniera przez Sejmową Podkomisję Oświatową naprawia krzywdy wyrządzone technikom ustawą z r. 1922 i reguluje nabywanie stopnia inżynierskiego w sposób najbardziej demokratyczny. Projekt ten daje pierwszeństwo tym osobom, które pracują aktywnie w wyuczonym zawodzie.

ZENON WRÓBLEWSKI

Przewodniczący Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie"

Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że już sama struktura organizacyjna szkoły sanacyjnej powodowała samoczynną selekcję społeczną uczniów. I tak, gdy młodzieży chłopskiej w I klasie szkoły powszechnej było 60,1%, a robotniczej 27,6%, to na I roku wyższych uczelni odpowiednie cyfry wynosiły zaledwie 14,3% i 10,2%. Proces ten wygląda odwrotnie, jeśli chodzi o dzieci klas posiadających i ludzi wolnych zawodów (w I kl. szkoły powszechnej dzieci klas posiadających 9,7%, wolnych zawodów 0,2%, na I roku wyższych uczelni odpowiednio 32,3% i 6,5%).

Okres okupacji spotęgował jeszcze ten proces selekcji, boć przecież z tajnego nauczania mało korzystali synowie i córki robotników i chłopów. Potwierdza to zresztą skład społeczny studentów wyższych uczelni w roku akademickim 46/47, przedstawiający się według danych Rady Szkół Wyższych następująco: młodzież robotnicza 7%, chłopska 11%, inteligencji pracującej 40%, wolnych zawodów 9%, innych 33%. Cyfry te wynikaja z faktu nieprzygotowania do studiów wyższych młodzieży klas pracujących, gdyż musimy sobie uprzytomnić, że selekcja społeczna odbywała się dla młodzieży chłopskiej już na szczeblu szkoły powszechnej, a dla młodzieży robotniczej w szkole średniej.

W Polsce Ludowej podjęto szereg akcji mających na celu zmianę tego stanu rzeczy. Reforma szkolnictwa, szeroko rozbudowana sieć wieczorowych szkół dla dorosłych, wstępny rok studiów na uniwersytetach, skrócone kursy przygotowawcze, społeczna komisja decydująca o przyjęciu na wyższe studia — oto środki, które dają już poważne rezultaty I tak np. na kursach przygotowawczych młodzież chłopska i robotnicza stanowi 71,5% na kursie wstępnym 49%, na I roku studiów w obecnym roku akademickim według niepełnych jeszcze obliczeń ponad 30%.

I dlatego widząc już na tym odcinku znaczną, choć niewystarczającą poprawę, tym więcej uwagi musimy temu zagadnieniu poświęcić.

Państwo nie lekceważy problemu. O ile stypendia państwowe stanowiły w roku 37/38 zaledwie 6,5% budżetu przeznaczonego na szkolnictwo wyższe, to w roku 1947 pomoc dla młodzieży studiującej stanowi 7,9% budżetu, a w r. 1948 przewidziana jest na 19,5%. Młodzież akademicka korzysta ze stypendiów państwowych nie tylko za pośrednictwem Ministerstwa Oświaty, ale i innych resortów państwowych (głównie Ministerstwa Przemysłu i Ministerstwa Zdrowia), poza tym istnieją społeczne źródła pomocy młodzieży studiującej.

W stosunku do potrzeb jednak pomoc Państwa i społeczeństwa wydaje się jeszcze za mała. Rozumiemy, że zniszczenia wojenne i potrzeby naszej odbudowującej się gospodarki nie pozwalaja na wydatne zwiększenie tej pomocy ze źródeł państwowych. Dlatego należy nam szukać innych dróg.

Drogi te widzimy 1) we wprowadzeniu opłat administracyjnych dla grup studentów zamożnych.

2) w zwiększeniu pomocy społecznej, co w dużej mierze zależy i od postawy młodzieży akademickiej (TPMSW).

3) w usprawnieniu podziału funduszów stypendialnych poprzez centralizację akcji pomocy i ustalenie właściwych kryteriów kwalifikacji do otrzymania stypendium. Zagadnienie to wymaga rozpracowania i ze strony władz oświatowych i samej młodzieży.

WACŁAW SZYMANOWSKI

Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego

Państwo nasze z roku na rok podwyższa wydatki na oświatę. Dowodem tego jest także nowy preliminarz budżetowy na rok 1948. Wszystko to jednak nie wystarcza wobec ogromnych w tej dziedzinie potrzeb naszego kraju. Jaskrawym przykładem może być szkolnictwo powszechne na Dolnym Śląsku, gdzie 190.000 dzieci osadników i repatriantów ze wszystkich stron Polski i z zagranicy chce i może znaleźć miejsce w szkole. Na rok 1947 przyznano 4985 etatów nauczycielskich, jest już obsadzonych 5392, a potrzeba 6.000 etatów. W przedszkolach ten niedobór przedstawia się jeszcze gorzej, bo etatów przyznanych i obsadzonych jest 370, a potrzeba przeszło 2 razy tyle t. j. około 800. W związku z tymi faktami, nasuwa się pytanie, czy wobec rosnących potrzeb całego szkolnictwa niższego, średniego i wyższego oraz konieczności rozwinięcia naprawdę szerokiej akcji stypendialnej dla młodzieży celem przyśpieszenia demokratyzacji naszych szkół nie trzeba sięgnąć do innych środków, aniżeli do zwyczajnych środków budżetowych. Czy nie trzeba zdecydować się, pomimo trudności, **na daninę czy podatek specjalny,** wyłącznie dla celów oświatowych? Właśnie w dziedzinie oświaty demokracje ludowe muszą i powinny przodować wśród innych narodów świata. Niedawno obchodziliśmy 30-letnią rocznicę rewolucji listopadowej, tej przełomowej daty w walce ludzkości o wyzwolenie człowieka od wyzysku. Ale przypominamy sobie, że wielkie osiągnięcia w wyniku tej rewolucji byłyby niemożliwe bez niemal natychmiastowego i właściwego postawienia zagadnienia oświaty i nauki w Związku Radzieckim. A pamiętamy, że dokonano tego mimo zniszczeń kraju w wojnie domowej, mimo głodu i sabotażów. Jeżeli narody radzieckie zdobyły się na ten wysiłek, który dla ich dalszego rozwoju miał olbrzymie skutki i w wielkiej mierze przyczynił się do zwycięstwa w ostatniej wojnie, to i nasz naród, naród, który stworzył przecież pierwsze ministerstwo oświaty na świecie, musi się na taki wysiłek zdobyć. Wszelka dalsza zwłoka może nam przynieść trudne do odrobienia straty.

FAKTY I ZDANIA

Dobre rady???

W momencie, gdy w ciężkiej powojennej sytuacji jedną z najpilniejszych dla Polski Ludowej spraw jest możliwie jak najszybsze zaspokojenie potrzeb materialnych społeczeństwa, gdy dla poprawienia sytuacji ekonomicznej kraju wprowadza się w życie trzyletni plan gospodarczy, gdy centralnym zagadnieniem narodu jest dzisiaj uprzemysłowienie kraju, gdy cieszymy się jako sukcesem narodowym każdym puszczonym w ruch zakładem przemysłowym, gdy z napięciem obserwujemy wskaźniki naszej produkcji, gdy robotnicy kopalń, hut i zakładów włókienniczych rzucają sobie wyzwania do wyścigu pracy, by było więcej węgla, więcej maszyn, więcej odzieży — w tym historycznym momencie na łamach „Tygodnika Warszawskiego" (Nr. 47) Józef Marian Święcicki w artykule „O syntezę cywilizacji naturalnej i technokratycznej" wygłasza pochwałę „naturyzmu".

Wprawdzie nie określa on bliżej czytelnikowi co to są „nieprzemijające wartości naturyzmu", jednak ze swojego zachwytu dla wcześniejszych epok cywilizacyjnych każe się domyślać, gdzie należy szukać ich źródeł — ustrój patriarchalny, osiadły tryb życia oto warunki sprzyjające ujawnieniu się „rzetelnego człowieczeństwa". Zbyt szybki rozwój industrializmu niszczy właśnie to „rzetelne człowieczeństwo"; autor nie omieszkał również wydobyć z lamusa starego argumentu, że rozwój maszynizmu zagraża osobowości, że na skutek „bezdusznej pracy" osobowość ulega „niebezpiecznemu dla zdrowia psychiki procesowi automatyzacji". stąd polityczny wniosek autora: należy wziąć w obronę jednostkę „przed uroszczeniami współczesnego państwa, które skupia w swoim ręku przy technokratycznym ustroju niebywałą potęgę techniczną i organizacyjną".

Grupę społeczną, którą należy chronić przed zgubnymi wpływami cywilizacji technicznej jest przede wszystkim wieś. „Rozumna polityka społeczna winna iść w kierunku pielęgnowania wartości naturalnych nie tylko przez ochronę regionalizmu, ale przez szczególną opiekę, której rozwój winien się oprzeć na zdrowych podstawach: na licznej rodzinie i na drobnej, ale wystarczającej do utrzymania i do przystojnego życia rodziny, własności". Autor idzie dalej — bierze w obronę i robotnika i jemu zaleca „osiadły i rolniczy tryb życia", uważając, że decentralizacja przemysłu, tworzenie samowystarczalnych warsztatów rodzinnych uchroni go od koszarowego stylu życia, który narzuca wielki przemysł.

Oto „dobre rady" dla narodu, który pragnie osiągnąć niezależność gospodarczą. Józef Marian Święcicki nie zastanawiał się nad tym, że pod jego „dobrymi radami" podpiszą się obiema rękami zachodnie państwa kapitalistyczne, które chętnie by Polskę i inne kraje słowiańskie widziały krajami „osiadłymi i rolniczymi". Publicysta „Tygodnika Warszawskiego" nie zechciał wziąć pod uwagę, że cywilizacja techniczna inaczej może być „użyta" w państwie, kierujacym się zasadami gospodarki uspołecznionej, że w tym wypadku służy ona całemu społeczeństwu. Wieś polska również nie ma najmniejszej ochoty na pójście za wskazówkami Józefa Mariana Święcickiego — regionalizm i gospodarka naturalna już jej nie wystarczają. w dzisiejszej rzeczywistości przyjmuje ona wszystkie zdobycze cywilizacyjne; chłop nie czuje, że jego osobowość na tym traci, gdy orze on traktorem, lub młóci przy pomocy motoru elektrycznego. Swojej indywidualnej gospodarce nadaje on wyższą funkcję społeczną przez włączenie swego warsztatu rolnego w system produkcji branżowej. Wieś nie chce być, jakby sobie tego życzył Józef Marian Święcicki, rezerwatem dla pielęgnowania „naturalnego stylu życia", nigdy jej nie odpowiadało „rzetelne człowieczeństwo" kurnych chat, nędzy i ciemnoty.

Leonard Sobierajski

Plotki o duchach

„Nowiny Literackie" stanowią dziś dość niespotykany w Polsce typ czasopisma literackiego. Konia z rzędem temu, kto na podstawie 35 numerów zorientuje się w ideowym programie pisma. Linia polityki kulturanej „Nowin" to linia **„eklektyzmu na poziomie"** Na zawartość pisma składają się nowinki ze światka literackiego i wspominki z dobrych przedwojennych czasów. Charakter ploteczek w stylu „co w trawie piszczy" posiadają też zagraniczne kroniki kulturalne.

W Nr 35 „Nowin Literackich" p. Jadwiga Żylińska podaje sensacyjne informacje na temat noweli angielskiej, („The Demon Lover"). Chodzi o duchy.

Punktem wyjścia jest zbiór nowel Elizabeth Bowen pt. „Upiorny Kochanek". Nie znam twórczości Elizabeth Bowen, a na podstawie tematyki trudno jest ferować wyroki o wartości artystycznej nowel, choć musi zastanowić ich sentymentalno-sensacyjny charakter — „dziwna historia" „Odziedziczonego Zegara", „romantyczna i piękna " opowieść o pieśniach śpiewanych przez ojca, liczne historie o duchach — m. in. ów „Upiorny Kochanek".

Przeraża jednak bezmyślność, z jaką p. Żylińska sproblematyzowała ten zbiorek na użytek polskich czytelników.

Z tajemniczych względów dochodzi do wniosku, że „na szczególną uwagę zasługują historie o duchach" i streszcza w sensacyjnym tonie historię o kochanku-upiorze, uprowadzającym niewierną w londyńskiej taksówce, cytując mrożące krew w żyłach „kawałki".

Z bogatej problematyki ciekawej twórczości nowelistycznej w Anglii uznała więc p. Żylińska za najciekawsze dla czytelników polskich historyjki tego typu. Niewątpliwie — może to być godnym zastanowienia przykładem odżywania we współczesnej literaturze angielskiej romantycznego schematu historii o kochance porwanej przez ducha (choćby Niemcewiczowska przeróbka z angielskiego „Alonzo i Helena"). Nie można tego jednak interpretować w taki sposób, jak czyni to autorka artykuliku. Skrzętnie zbiera przykłady „powszechnej u Anglo-Sasów wiary w duchy" oraz stwierdza, że w nowelach „pisarzy pochodzenia celtyckiego po prostu roi się od widm i upiorów". Nic dziwnego, że w tych warunkach kryterium **rasy** narzuciło się jako czynnik wyjaśniający to zjawisko literackie; autorka wnioskuje, że żywość zainteresowań spirytystycznych w Anglii jest rezultatem braku właściwej religijności — „poczucia metafizycznego sensu istnienia". Oto skutki — Anglicy nie wierzą w Boga — a zatem muszą wierzyć w upiory.

Artykuł Żylińskiej jako notatka informująca o nowelistyce angielskiej, czy nawet szczegółowej o twórczości Elizabeth Bowen, jest pozbawiona wszelkiej wartości — może najwyżej dostarczyć emocji pensjonarkom. Tłumaczenie zaś obserwowanych zjawisk roi się od psychologistyczno-rasistowskich bredni.

Czytelnikowi, poszukującemu choćby najogólniejszych informacji o współczesnym życiu literackim zagranicy, plotki o duchach i metafizyczna interpretacja literatury nie przyniosą najmniejszego pożytku.

Maria Miśkiewicz

Piętami naprzód

W „Miesięczniku Ludowym" ukazała się recepta Józefa Bieńka na nowe pismo literackie.

Zdaniem Bieńka brak nam dziś pisma literackiego dla mas i dla literatów początkujących i samorodnych. Brak pisma naprawdę bezklasowego, które byłoby jednocześnie naprawdę demokratyczne.

Autor recepty na nowe pismo literackie zapomniał, że my jeszcze nie żyjemy w społeczeństwie bezklasowym. Gdyby nawet powstało takie nowe pismo literacko - demokratyczne, to piszący do niego nie będą niemymi demokratami. To znaczy nie mogą pisać tylko o tym, jak to „rózgi brzóz wicher malują", jak się „nosi cień w kieszeni", lub, jak się gwiazdy koszem łowi, ale musieliby pisać nieco i o tym, co się dzieje na świecie. Jeżeli pisarz tego nowego pisma będzie demokratą — musi zająć wyraźne stanowisko po tej strony barykady, gdzie walczą o demokrację. Pomiędzy nami są jeszcze ludzie, którym się zdaje, że można być nie z kimś i nie przeciwko komuś.

Gdy nie mamy jeszcze społeczeństwa bezklasowego, gdy walka na białą broń gospodarczą i polityczną wre wszędzie, jakżeż możemy być pisarzami demokratycznymi nie orientując się w grze i w znaczeniu sił społecznych na świecie?

Nie jestem sekciarzem i nie twierdzę, że oprócz „Wsi", „Odrodzenia", „Kuźnicy" i „Nowin Literackich" już więcej nam pism nie potrzeba. Ale nie można być dziś pisarzem prawdziwie i w nowoczesnym pojęciu — ludowym, jeśli się siedzi, jakby za piecem w jakimś pisemku bezinteresownym, obojętnym na to, o co świat walczy.

Gdyby nawet powstało pismo literackie masowe z recepty ob. Bieńka a także Juliana Przybosia, bede jego pierwszym czytelnikiem, ale pod warunkiem, że nie będzie ono, jakby chciał ob. Bieniek bezstronne, bezklasowe i apolityczne.

Seweryn Skulski

Humanizm

Fakty, podane przez Adama Polewkę na zjeździe Z. Z. L. P.:

Jeden z dostojników watykańskich oświadczył, że chciałby, żeby w Polsce religia była prześladowana, gdyż byłoby to doskonałym atutem propagandowym w ręku Watykanu.

Jeden z biskupów polskich, biorących udział w obradach episkopatu na Jasnej Górze podał z ambony „nieulegający wątpliwości" fakt, że w szkołach polskich bije się dzieci, gdy te życzą sobie odmawiania pacierza.

Ten sam biskup wygłosił kazanie demonstracyjnie po angielsku. A równocześnie czytamy w Tygodniku Warszawskim, nr. 46:

„Spieszymy uspokoić kogo należy, że ze stanowiska naszego niezależnej opinii katolickiej jesteśmy przeciwni wciąganiu kościoła do rozgrywek politycznych". **W. J.**

Zabezpieczenie — czego?

Podaję tekst ulotki kolportowanej wśród studentów na Uniwersytecie Łódzkim. Podkreślenia — moje:

„Nie niszcz — daj wierzącemu(ej) Koledze (żance)!

LIST OTWARTY
do P.T. Studenta(ki) Katolika(czki)
W ŁODZI

Wobec widocznych braków i niedostaków są dwie postawy. Jedni załamują ręce, narzekają i jęczą. Inni obliczają rzecz, biorą się do pracy i brakujące wartości wytwarzają. Student(ka) zajmuje tylko postawę wytwarzania wartości.

Jest morze łez i narzekań szczerych lub obłudnych na brak pogłębienia katolicyzmu w Polsce, brak wiedzy religijnej, niedorozwój kultury katolickiej i tp. Pomijając nawet przesady i nieścisłości tych zawodzeń

Łódź katolicką

nielubiejącą marnować słów, te jęki bezowocne już drażnią.

Łódź woli pracować!

Dlatego obliczywszy całą rzecz, stworzyła Łódź studencko-katolicka Studium Wyższej Wiedzy Religijnej, gdzie w szarej pracy **wytwarza brakujące katolicyzmowi polskiemu wartości.**

SWWR jest wyższą uczelnią.

SWWR jest uczelnią kościelną o celach oświatowo-religijnych i dlatego podlega wyłącznie tylko Władzom Kościoła Katolickiego w Polsce.

Wykłady SWWR odbywają się zasadniczo wieczorem od godz. 19.30 do godz. 21.15 **(z przerwą 10 min. w środku),** kursu 1-go w poniedziałki i środy, kursu 2-go we wtorki i piątki, pro — i seminaria są zasadniczo w czwartki (możliwość zmian zależnie od warunków).

SWWR jest uczelnią 3-letnią (6 semestrów), odbywać jednak kolokwia i zdobywać zaliczenia przesłuchanych semestrów można w ciąlat 5-ciu od chwili zapisania się na Słuchacza SWWR.

SWWR daje określone Statutem uprawnienia w środowisku katolickim.

Korzyści duchowo - religijne z ukończenia SWWR są następujące:

a) spełnienie religijnego obowiązku **stanu inteligenta,**

b) metodyczne pogłębianie **osobistej** religijności na **jej odcinku umysłowym,**

c) **zabezpieczenie wiary własnej przed kontrargumentami przedstawionymi metodą naukową,**

d) dopełnienie własnego wykształcenia uniwersyteckiego na najwyższym odcinku światopoglądowym,

e) udział w przezwyciężaniu niedorozwoju katolicyzmu polskiego pod względem pogłębiania rozumowo - naukowego oraz pod względem ścisłości i rozległości poglądów.

Zwracamy uwagę, iż za kilka lat inteligent-katolik, nie mający ukończonego SWWR, będzie się musiał wstydzić wobec swoich i obcych; nie będzie to też bez pewnych skutków dla życia. Na miazgę bez treści już jest coraz mniej miejsca w katolicyźmie polskim.

Nie zważając nawet na ten wzgląd — rozszerzenie widnokręgów myślowych, pogłębienie duchowe, satysfakcja wewnętrzna winny Cię nakłonić do zapisania się na Słuchacza(kę) SWWR.

Łódź, dn. 19 października 1947 r.".

*

Stanie inteligenta! Ubezpieczaj swoją wiarę przed kontrargumentami, zdobywaj określone Statutem uprawnienia w środowisku katolickim. Zapisuj się na dwugodzinne wykłady z 10 minutową przerwą w środku. Tylko... jakie właściwie wartości wytwarza SWWR.?

Z.S.

Wiciowa matematyka

Kiedy się czyta prase wiciową, szczególnie Organ Naczelny Z.M.W.R.P. „Wici" można nabrać przekonania, że licząca pół miliona członków gromada, pracuje bardzo sprawnie w oparciu o sprężyście działające ogniwa organizacyjne, ciągnące się od Zarządu Głównego, poprzez wojewódzkie i powiatowe aż do gminnych kół.

W każdym prawie numerze „Wici" czytamy sprawozdania z pracy poszczególnych ośrodków, nierzadko nawet reportaże z terenu.

Byłem właśnie w „terenie" zaproszony przez jedno z kół powiatu łódzkiego.

W Domu Ludowym oglądaliśmy przedstawienie. Bardzo licznie zgromadzonej młodzieży chłopskiej pokazano na scenie „miłość dwojga serc z przeszkodami", po czym odbyła sie zabawa, poprzedzona występem chóru, który odśpiewał: „Hej, do niebieskich pował..."

Ile wypito wódki sprzedawanej w dużych ilościach — tego nie wiem. Nie wiem także, czy i kto kogo pobił. Zapamiętałem sobie natomiast rozmowę z Prezesem Koła.

Opowiedział mi on, że Koło reaktywowano w 1945 roku. Do połowy listopada 1947 roku wizytował Koło jedyny raz ktoś z Zarządu Wojewódzkiego. W tym czasie nie otrzymano od władz wiciowych ani jednego instruktora wiciowego. Nie dano żadnych materiałów do pracy, nie przyjechał także nikt z odczytem. Do tej pory nikt z członków Koła nie przeszedł żadnego kursu przeszkoleniowego. Poza urządzaniem zabaw i przedstawieniami, urządza Koło śpiewy chóralne. Żadnej innej działalności nie prowadzi.

W Łodzi dowiedziałem się, że gościło mnie jedno z najlepszych Kół wiciowych województwa.

P. S. Ostatniej niedzieli odbyło się zebranie prezesów Kół „Wici" powiatu łódzkiego. Z 18 Kół przybyło 6 prezesów. Pierwszy punkt porządku dziennego poświęcony był sprawie urządzenia zabawy andrzejkowej. Z kolei wybrano delegatów do Powiatowej Rady Narodowej i Wydziału Oświaty Rolniczej. Dopiero przy końcu zebrania i po dwu latach istnienia organizacji zastanawiano się nad potrzebą zaangażowania instruktora świetlicowego, który mógłby organizować i lustrować pracę ośrodków gminnych. Zgodzono się na niedzielnym zebraniu, że jak dotąd — nie wiele zrobiono. Ktoś zwrócił uwagę, że np. Z.W.M. zobowiązuje swoich członków do pracy. Odpowiadano sobie, że „Wici" mają tę niezwykłą zaletę, iż są organizacją dobrowolną, w której członków do niczego się nie zmusza. Podstawowym założeniem deklaracji ideowej „Wici" jest przecież — wolność i godność orającego człowieka.

Kiedy opowiedziałem to wszystko jednemu z kolegów, zainteresowanych bezpośrednio ruchem wiciowym — spytał mnie: „to jeszcze o tym nie wiedziałeś"?

A no nie wiedziałem, ale już wiem.

Piotr Pigwa

Gazety i książki

Zagadnienie czytelnictwa na wsi jest rzecza tak ważna, że nigdy nie jest za dużo mówić, ani pisać o tym. Gdyby chodziło tylko o techniczne rozwiązanie dostarczania dla czytelników wiejskich książki czy gazety, to może nie byłoby to — zbyt trudne, ale rozpowszechnić czytelnictwo, to przezwyciężyć w psychice chłopa obojętność do słowa pisanego.

I dlatego, chcąc rozpowszechnić na wsi przyzwyczajenie do czytania, trzeba akcją tą pokierować w ten sposób, żeby książka lub gazeta znajdowała się w miejscu, **gdzie interesy gospodarcze i towarzyskie chłopa się skupiają.**

Punktami takimi na wsiach są spółdzielnie, a wiemy doskonale, że w tej chwili sieć ich jest dość gęsta. Gdybyśmy chcieli rozpowszechniać czytelnictwo poprzez specjalnych kolporterów, to spotkamy się prawdopodobnie z trudnościami wyszukania ich, ze względu na nieopłacalność pracy. Organizowanie specjalnych kiosków po wsiach spotkać się może z trudnościami podobnej natury. Mój projekt jest taki: ażeby gazety i książki znalazły się w spółdzielni **tak samo, jak każdy inny towar w handlu,** przez co będą zawsze na oczach kupujących.

Zrozumiałe jest, że częste stykanie się z gazetą przyciąga człowieka do czytania, co z biegiem czasu wzbudzi stałe zainteresowanie gazetą i w dalszym etapie — książką.

Czytelnictwo książek może być rozpowszechnione tylko przez zorganizowaną, gęstą sieć bibliotek. Stawiam projekt, ażeby *spośród podanych przez dyskutantów* „Wsi" sposobów rozpowszechniania czytelnictwa na wsi, wybrać parę i przeprowadzić próby praktycznie na terenie gmin i powiatów.

M. Janicki

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI
SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. WIEDZA:

Pola Gojawiczyńska — Ziemia Elżbiety, wyd. trzecie, str. 204;

Anatol Winogradow — Potępienie Paganiniego, przełożył Włodzimierz Słobodnik, str. 462;

Charles Kingsley — Na podbój świata, przełożyła Zofia Popławska, str. 279;

R. Kipling — Księga Dżungli, str. 201;

Andrzej Strug — Ludzie podziemni, str. 214;

Balzac — Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau, str. 329;

Fannie Hurst — Imitacja życia, powieść, str. 403;

Emil Zola — Germinal t. I, str. 259, t. II str. 183.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji. Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 133 II p., telefon 100-98.

Konto PKO Łódź VII — 1080.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd „Czytelnik" - Łódź, ul. Żwirki 2. D — 018597